



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebora i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

KSIĄDZ KAZIMIERZ

WNOROWSKI

Biskup lubelski.

Do panteonu naszego ludzi szlachetnych i dobrych obywateli, mężów zasłużonych, przybywa nam zmarły w Lublinie dnia 21 Kwietnia r. b., ksiądz Kazimierz Wnorowski, biskup lubelski: tak światobliwy kapłan, tak zacny człowiek, że cześć i miłość tysięcy serc udzieliła mu przy trumnie kanonizacyi na świętego. Można też, przemieniając słowa poety, powiedzieć: — „Świętym jest na ziemi, kto umiał innych uczynić świętymi“, a taki właśnie cud stał się przy martwych zwłokach biskupa lubelskiego. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi uczuło we wzruszonej piersi takie gorące serca uderzenie, takie pragnienie uczczenia cnoty i zasługi, że pod tem natchnieniem górnem niknęły nagle dzielące ich przedziały: różnice stanów, wyznań, położenia życia wyższych, czy niższych, i tłumy ludzi, zjednoczonych przez miłość i żal, uległy porywowi wzniosłych, czystych uczuć.

Ks. biskup lubelski, urodził się w Łęczycy 1818 r. Ojciec jego, Paweł, był tam nauczycielem szkół publicznych, i od niego otrzymał syn nauki początkowe.



KSIĄDZ KAZIMIERZ WNOROWSKI.

Matka, z domu Szyszkówna, musiała zaznaczyć się w wychowaniu jego wpływem niepospolitym, bo niepospolita miłość łączyła to dwoje przez życie całe, razem pędzone. Syn, zbolący śmiercią matki, starej, przyspieszył sobie zgon, przez żal za nią, przez zaniebienie się na jej pogrzebie; pragnął na ostatni odpoczynek ziemski zostać obok niej, położonym; ona nie opuściła go nigdy w godzinie próby i trudności, towarzyszyła mu w dalekiej pielgrzymce i wzajemna ich, tkliwa staranność o siebie, wzruszała ludzi. Wzruszał w ustach wysokiego dostojnika kościoła i człowieka, podchodzącego już pod zimę życia słodko-pieszczotliwy wyraz, jakim się odzywał do rodzicielki swej sędziwej: „matusiu!“

Po ukończeniu szkół wojeńskich w Kielcach, 1834 roku młodziemiec uczuł powołanie do stanu duchownego, i za zgodą obojga rodziców, pobłogosławiony przez oboje, wstąpił do seminarium w Kielcach, gdzie przebywał lat dwa. W 1836 r. młody, ośmastoletni kleryk przeniósł się do Warszawy, do seminarium głównego, które w czasie jego tam pobytu zostało przemienionem na Akademię Duchowną, gdzie kształcąc się i zaznaczając przez wyższe zdolności naukowe, i szlachetne, gorące uczucia, przebywał lat cztery. W Lipcu 1839 r. otrzymał stopień naukowy kandydata teologii i filozofii, lecz, nie mając jeszcze wie-

ku, jaki jest wymagalnym do przyjęcia święceń kapłańskich, wykładał przez lat dwa jako dyakon historią, katechetę i język łaciński w Seminarium Kieleckim. W Czerwcu 1841 roku otrzymał godność kapłańską i razem został professorem umiejętności biblijnych w Akademii Duchownej. Obowiązki te pełnił do 1850 roku i czas ten—to piękna epoka rozkwitu jego ducha, epoka rozwoju jego umysłu i czuć, stanowiąca o całym skierowaniu się jego późniejszym. Warszawa mieściła wtedy wśród murów swoich wiele szlachetnej młodzi, wiele duchów podniosłych, serc pełnych zapału i pragnień górnych; młody professor wszedł też w stosunki z gronem ludzi, ku którym popychało go pokrewieństwo ducha. Dominik Szulc, Majoriewicz należeli do bliższych mu wśród tego koła, które ożywiała dążność uczciwa ku celom wyższych zdobyczy na polu dobra ogólnego. Budzono się z długiego zastoju myśli; Skimborowicz zaczął wydawać *Przegląd naukowy*, Żmichowska zaczęła w nim drukować wspaniałe piękne płody swego natchnionego pióra, i młody kapłan przyjmował w pierś magnetycznie ten nastrój podniosły, chwycił powiew gorący, który, przeciągając wskrósł społeczeństwa, tworzył w sztukach i literaturze to, co nazywać możemy renesansem naszym. Kolegiata kielecka uczyniła młodego profesora w 1845 roku honorowym kanonikiem swoim, bo już zaczął podnosić się coraz w opinii ludzkiej, już i pióro jego zaczęło zwracać na siebie uwagę. Drukował w *Pamiętniku religijno-moralnym* piękne i głębokie studia nad Pismem Świętym, ale największy rozgłos uczyniła mowa jego nad grobem Jana Majorowicza, która w znacznej liczbie egzemplarzy odbita, rozeszła się szybko po kraju, zwłaszcza między młodzieżą duchowną.

Było to w 1849 roku.

W 1856 roku widzimy go przybywającego do Kielc, otrzymującego tam posadę profesora seminarium, oraz wikaryat przy kolegiacie. W rok potem zostaje prałatem tejże kolegiaty, a następnie, w 1859 r., administratorem parafii Szaniec, w 1862 r. proboszczem, i tu otwiera się nowe pole dla jego poświęconej działalności. Wszystkie te cnoty chrześcijańskie, którymi zasłynął potem, już dały tu znać o sobie w zetknięciu się z ubogim ludem wiejskim. Uczy, wspomaga, wnosi pod niskie strzechy chat światło, które dźwiga z ciemnoty, pociechę i wsparcie dusz, datek wreszcie i zaczyna sobie skarbić tę gorącą miłość ludzi, która potem nakazała tysiącom zawodzić przy jego trumnie. Kochają go, szanują do koła maluczy i wielcy tego świata; kapłańska jego powaga wywiera swój wpływ łagodny, ewangelicznie słodki, ewangelicznie skromny, niemniej dlatego silny, stale, niezmiennie skierowywujący do cnoty chrześcijańskiej, do podniosłych celów życia—wpływ, przez który sprowadzał ludzi z gościńca złego, na gościniec dobry—czynił drogi Pański! Lud po wsiach i miasteczkach, panowie po dworach, księża jego dekanatu czczą go i słuchają. Tak było do 1867 r. Wszystkie rysy szlachetnego człowieka i dobrego kapłana odnajdują się w sylwetce jego duchowego oblicza.

W 1872 r. znowu znajduje się professorem seminarium kieleckiego, i zostaje jego regensem, a jako rzadca licznej młodzieży duchownej, rozwija, jeżeli nie nowe przymioty ducha, to czyni nowe ich zastosowanie, i jako zwierzchnik młodej rzeszy, którą rządzi razem jak ojciec i kapłan, zyskuje, jak wszędzie, najwyższą miłość i szacunek, najwyższe uszanowanie. Zasluga przygotowywania społeczeństwu dobrych, poświęconych, wyższą myślą ożywionych księży zajmuje niemałe miejsce wśród jego tytułów do pamięci i wdzięczności ogółu.

W Marcu 1883 r., papież prekonizuje go na biskupa lubelskiego. Wyświęcony w Maju, w Lipcu odbył uroczysty ingres—objął biskupią stolicę swoją, aby być na niej przykładem najszlachetniejszej pojętych obowiązków dostojnika kościoła. Zawsze słodki, skromny, łagodny, dobry dobrocią, ucznia Chrystusowego, umiał być jednak poważny, a nawet surowy w pełnieniu powinności swoich wysokiego dusz pasterza. Żądał od księży swej dyecezyi przynależnej godności i uszanowania charakteru kapłańskiego—żądał

niezachwianej wiary, żądał gorącej miłości, żądał poświęcenia, dając drugostronnie upadłym na duchu ducha własnego podpórę. Gdy przy pierwszym zaraz objeździe dyecezyi, młody ksiądz, niedawno mianowany proboszczem ubogiej, w smutny kąt wsuniętej parafii, powiedział mu: — Boję się... boję, czy nie stanę się słabym. — On mu odparł surowo: — Nie godzi ci się bać, boś jest sługa Pański.... Ale potem, gdy już odjeżdżał, przy pożegnaniu przytulił sobie do piersi jego głowę i rzekł: — Będę się co dzień modlił za ciebie i Bóg ci dopomoże.... Wzruszony młodzieniec rozplakał się i ukląkł przed nim:

— Połóż mi, pasterzu, rękę na głowie, a moc łaski Chrystusowej zstąpi na mnie—zawołał.

Mnóstwo jest opowieści o takich dowodach jego apostolskiej działalności, o jego apostolskim wpływie, roztaczanym do koła. Objazdów dyecezyi odbył dwa, zawsze krzepiąc, umacniając, przyciągając do siebie tysiącami lud pobożny. Wysoko wykształcony, uczony nawet, umiał jednak przemawiać do prostaczków i serca ich otwierać. Sprawiało to uczucie; miłość tych tłumów ubogich, które kochał gorąco i zasiliał w biedzie, oddając im — w literalnym znaczeniu tego wyrazu—grosz ostatni. Czasem w próżnej jego sakiewce nie było nawet grosza tego, i wtedy dawał im tylko to, o co błagał go ów kapłan młody: przez swoją wiarę sprowadzał wiarę, przez swoją nadzieję i miłość, zasiliał ich miłością i nadzieją.

Seminarium lubelskie otoczył troskliwością najwyższą i opieką isticjową. Ze skromnych funduszy swoich oddawał na nie 1,500 rs. rocznie i nakłaniał proboszczów dyecezyi swojej, aby dawali według możliwości. Kosztem jego utrzymywało się 14 alumnów.

Te zajęcia wysokiej natury, wypływające z biskupiego jego urzędu, nie rozgrzeszały go w sumieniu własnym z zajęć i prac zwykłego kapłana. Jak każdy prosty ksiądz, jak każdy prosty proboszcz w parafii swojej, odprawiał nabożeństwa i udzielał sakramentów, siadał do konfesyjonału i spowiadał. Śpieszyli tam ci właśnie, którym było najciężżej na duszy, najtrudniej w życiu, i dlatego spowiedzi te bywały czasem długie i wzruszały, tak tego, który położenie swoje mu wyznawał, jak jego, który wyznanie to przyjmował, i takie wielkie uszanowanie ludności otaczało go, jako spowiednika, że nie śmiano cisnąć się do niego ze zwyczajnem tylko dopełnieniem aktu religijnego: z przedziwnym taktem, z przedziwnem odczuciem jego misyi, zostawiano to tylko szczególnie potrzebującym.

Za to ci garnęli się tu, jak do portu uspokojenia, umocnienia duchowego. Biskup wstawał nieraz od konfesyjonału, aby natychmiast dla jednej pojedynczej osoby własną ręką udzielać Sakramentu Komunii. Nie czynił tego dla żadnych wyjątkowo dostojnych penitentów, ale dla ubogich, strapiionych, dla potrzebujących wspomoczenia łaski Bożej—zawsze!

Nigdy nie był zmęczony na to—nigdy! Chciał tego trudu, pragnął go, bo to była wedle jego serca i sumienia praca pasterska. Przed śmiercią, gdy już wiedział, że wybiła jego godzina ostatnia, i że odejść musi, gdy już przyjął Ostatnie Sakramenta, przemówił do zebranych kapłanów i kilkudziesięciu osób znanych i nieznanych, którzy dowiedziawszy się, że umiera, zbiegli się, boleści pełni. Osłabiony był już bardzo i mówił głosem cichym, mówił z namaszczeniem apostolskim, o gotowości na śmierć, o moralnym obowiązku takiego stanu dla każdego człowieka. Myśl o śmierci, podnosi wśród ciężkich godzin życia i daje wyższą siłę do pełnienia jego obowiązków—to była treść tej ostatniej pożegnalnej jego mowy. Jednak przebił się wśród słów jego wyraz żalu — że odchodzi od pracy, która się wiązała z pragnieniami jego miłości, jego ukochań gorących. Tego tylko mógł żałować na ziemi, bo też całe jego życie szło w kierunku tego najwyższego, religijnego natchnienia.

Przez cały tydzień jego choroby bramy biskupiego pałacu stały otwarte, bo lud stroskany cisnął się i zalegał plac tłumem niespokojnym. Tak było do ostatniej chwili; gdy też rozeszła się wiadomość, że moment stanowczy już blizki, ude-

rzono w taki jęk, w taki płacz, wybuch boleści był tak wielki, że prezes Dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego, Świeżawski, który znajdował się między innymi u łóża umierającego, musiał zejść na dół, aby pocieszać i uspakajać bolejące tłumy. Wkrótce przed zgonem rabin lubelski przyszedł prosząc, aby mu było danem pożegnać świętego, który odchodził, i dopuszczono go do biskupa. Jako uczony w Piśmie, władał on biegle językiem hebrajskim i rabin tak też do niego przemówił. Biskup mu odpowiedział, było to wzruszające pożegnanie: uroczyste i poważne — przytomni nie rozumieli co się mieściło w słowach, ale czuli, że nie były one pospolite, ani marne. Potem umierający kazał otworzyć okno, i, jak donoszą korespondencje z miejsca, błogosławił ludowi zebranemu tłumem na placu, dyecezyi i krajowi. Powietrze wiosenne było ciepłe, świeże, od Buga zalatujące, i owiewało czoło umierającego, który je w pierś wciągnął. Gdy nakoniec oddał ducha Bogu, a miastu znać o tem dano, stała się naraz cisza grobowa. Nikt nie śmiał śpieszyć za jakimś interessem, zajęciem swoim; turkot kół przestał się odzywać, widowisko teatralne zostało zawieszone, jak w czasie wielkiej żałoby publicznej. Sprawiedliwy człowiek, duch czysty i szlachetny uszedł do Boga, i stało się smutno po zstąpieniu.

(Dokończenie nastąpi)

CZECZOTKA

Powieść z dawnych czasów

przez

Piotra Jaxę Bykowskiego.

(Dalszy ciąg).

— Ale przeto na planach i dokumentach jest to własnością Czeczotków.

— Zapewne, iż to jest tam zapisano, temu nie przeczę,—ale co mi po tem!

— Są tam kopce graniczne od Krystynopola.

— Kiedyś jeszcze, zamłodu, lat temu ze czterdzieści, kiedym się zapędził za rogaczem tam, a jeden się z nich potknął.... Więc cóż ztąd?

— To, że owe kopce usypane są na gruntach krystynopolskich, a przez to odgraniczenie odpada od Czeczotki ziemi cudzej 1 mórg i przętów 8 miary chełmińskiej. Tak to stoi na naszych planach i mapach ekonomicznych.

— Ha! ha! panie bracie, czy kupisz czy o drogę pytasz? Czy tylko o to chodzi? Więc odmierzcie sobie z tych skał całych 10 morgów i 80 przętów, lub jeszcze i dziesięć razy tyle, ile zechcecie sobie. O cóż to chodziło, żeśmy sobie tyle krwi napsuli i prowadzili tak długie certacye? Tyle, m osanie, czasu straconego: wypijmyż za to na us pokojenie tych apprehensyi.

I tu p. Wincenty, wesół już i rozburmurzony, napelniał szklanice.

— Nie o to idzie, panie bracie—prawił p. Tomasz zakłopotany—ale według prawa, należy się kalkulacya za lat 207 *de asso et grano*.

— Co?!—wrzasnął pan Wincenty, zaperzony na nowo — a jakaż tam kalkulacya, jeżeli kto tam na wierchołki tych skał od granicy krystynopolskiej rzucił jakie *granum*, to chyba ptacy: ich pozrywajcie o kalkulacyę, bo od kiedy tu żyją Czeczotkowie, grzebią się sobie w tej oto kotlinie, która ze ćwierć mili odległa od granicy krystynopolskiej. Spójrz sam na te wysokie skały i powiedz: czyli się tam kto komu worał lub wkopał w miedzę?

— Aż nadto pojmuje, bracie Wincenty, słuszność twoich argumentów, ale i ty chciej mię zrozumieć. Tak to, niestety, jest na świecie, że *du-ra lex sed lex*, i na ową kalkulacyę za lat 207 od kiedy tu Czeczotkowie siedzą, a owego morga używają, mało dziesięciu takich fortun jak wasza.

— A, teraz rozumiem!—wybuchnął gwałtownie

p. Wincenty—na co tu obwijać w bawełnę? Jaśnie Wielmożnemu wojewodzie, który już ma tyle ziemi, że jej i przez dziesięć lat piechotę nie zedziesz, zachciało się tej mojej mizery.

Obaczmy, co z tego będzie?—dodał bardziej gniewny, wskazując ręką na sterczące wieże zamku na skale — Ha? prawda, że Krystynopol wysoko, ale Pan Bóg na niebie jeszcze wyżej! I waśco jako jurgielnik swojego zacnego pana, okrywając się w jego skórę¹⁾, dybiesz na własną krew, a prawem i sumieniem frymarczysz!

— Gdyby nie węzły braterstwa i przyjaźni nas łączące, a gdyby nie baczył na twe ciężkie rozżalenie, nie puściłbym płazem tej mojej krzywdy; ale niech ci Bóg wybaczy jej niesłuszność. Nie przezę, że jako jurysta żyję z prawa, a patronuję sprawom imci pana wojewody, ba, na czym wozie jedziesz, tego pieśń śpiewaj; ale przeto jałem się tej sprawy, aby waszmości wygodzić.

— Wydarciem rodzinnego gniazda i tej ojcowizny, milszej nad wszystko! A, dobry z waści brat i przyjaciel. Wolałbym waćpana mieć wrogiem—przerwał p. Wincenty z passją i oburzeniem.

— Wrogiem panu bratu nigdy nie będę, a dowód tego najlepszy, że podjąłem się tej sprawy, acz z obowiązku, jednak pod warunkiem, że wojewoda skończy ją nietylko bez krzywdy, ale owszem z korzyścią waćpana. Owoż, aby zakończyć tę smutną a gorszącą dysputę, wypowiem ostatnie słowo: imci pani Wojewodzinie tak się spodobało owo urwisko....

— Komu urwisko to urwisko, a dla mnie to lepsze od wyniosłych pańskich pałaców — mruknął p. Wincenty gmiewnie.

— Owoż powiadam—ciągnął dalej p. Tomasz— że p. wojewodzina uprojektowała sobie, że na rok przyszły, w dzień jej patronki, na św. Annę, to wszystko będzie przyłączone do ogrodów krystynopolskich i tu się odbywać ma uroczysty obchód.

— A ja na św. Wincentego à Paulo, mego patrona, który na cały tydzień poprzedza św. Annę, chcę sobie potańcować na krystynopolskim zamku, i jeżeli zamierza pani wojewodzina wyrzucić mnie z siedziby ojców na d. 26 Lipca, czemużbym ja nie mógł chcieć to samo jej sprawić o tydzień wprzód na dziewiętnasty?—znów z gorzką ironią przerwał p. Wincenty.

— Czemuż-by to nie było możebnem, jeżeliś waszmość jest wstanie ofiarować stosunkowo tyle za Krystynopol, co proponujemy za Czczotkę, za którą, już w tem moja głowa, na co daję ci parol szlachecki Tomasza Setnickiego, patrona trybunałów koronnych, że za każdą morgę tych twoich krzemieni, damy ci tyleż ziemi ukraińskiej, i to gdzie sobie wybierzesz, lub *ad libitum* kapitał odpowiedni.

— Mój synaczku — ozwał się milczący dotąd Bernardyn — takiej świetnej krescytywy dla dzieci odrzucać się nie godzi, bo to jest dar boży, a i Pismo nas uczy, iż *quod Deus mihi dat non dimitto foras*.

— Księżę stryju, wiecie, iż was szanuję jak ojca, ale przeto powiem waszmości, że i wy ciągniecie za wojewodą, za to, że wam piękny klasztor w Krystynopolu fundował, a karmi was i poi—odparł nieco łagodniej p. Wincenty, przez wzgląd na wiek i charakter duchowny; lecz w tej chwili, nie hamując się, wybuchnął z passją do p. Tomasza:

— Powiedz-że waśco swojemu panu ostatnie słowo, że gdyby mi dawał Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie, razem z tą koroną, do której się mizdrzy oddawna, to Czczotka nie jest do sprzedania. Processujcie, sobie ile chcecie, na to wy macie trybunały, a ja Boga na niebie.... *dixi!*

— Panie bracie....—rozpoczynał nieśmiało pan Tomasz.

— Nie odzywaj się waszmość, z łaski swej,

w tej materii, bo nie chciałbym zapomnieć, żeś tu przydzian w święty charakter gościa — powiedział, głosem drżącym od hamowanego gniewu, gospodarz.

— Zostawaj z Bogiem, panie bracie! Jedno o czym cię zapewniam, że ja w żadnym razie własnej ręki do tej sprawy nie przyłożę; lecz, jakie mogą być skutki, niech was od tego Bóg ochrania!

To powiedziawszy, skłonił się odwróconemu od siebie gospodarzowi, ucałował rękę księdza i odszedł, rozkazawszy, aby go konie po drodze napędzili.

I tak dwaj bracia, przyjaciele od dzieciństwa, rozstali się wrogami.

Wkrótce po wyjeździe p. Tomasza na spokojną od wieków Czczotkę posypały się pozwy, a wślad za nimi zjeżdżały jedne po drugich kondescencye podkomorskie; komornicy i ziemomiercy mierzyli skały, pisali protokoły i t. p. odbywali czynności, które Czczotka za nic sobie ważył, powiadając opryskliwie, że:

„Krystynopol wysoko, ale Bóg jeszcze wyżej“, a wszelkie pretensje o pogwałcenie granicy, odsyłał do orłów i sępów, jedynych według niego, którzy tych skał używali, i na nich kazał poszukiwać kalkulacji.

Zadługo byłoby nużyć czytelnika przebiegiem całej sprawy; dość obaczyć jej smutne skutki dla biednych mieszkańców cichego ustronia. Zapadł wreszcie wyrok prawomocny sądu podkomorskiego, przyznający pogwałcenie granicy i jako kalkulację za dwa przeszło wieki sumę bajeczną, której Czczotkowie, odkiedy istnieli, nawet nie przeliczyli.

Pan Wincenty, nie uznając zasady sprawy, a nie broniąc się, przegrał z kretelem. Nastąpiła egzekucja wyroku, o którym ani słyszeć nie chciał i z miejsca nie ustępował, chociaż cała jego szczupła chudoba *in vim* kalkulacji została przyznana stronie przeciwnej.

Jak wiadomo, w dawnej Rzeczypospolitej egzekucja wyroków nietyle polegała na sile, ile na ogólnej powadze i poszanowaniu prawa; sądy nie posiadały żadnych środków egzekucyjnych, bo nawet milicje trybunalskie, tak zwane „brachium militare“, zaledwie wystarczały do utrzymania porządku podczas trwania kadencji. Ztąd-to wyjątki nieposłuszne prawu dobrze na tem wychodziły i magnaci mający swoją milicję lub i szlachę posiadającą wziętość, zebrawszy sobie jaki taki zastępek panów braci, sami dekret egzekwowali lub sami się bronili; a jeżeli dotknięty wyrokiem był silniejszy, to potrafił go ominąć.

Czczotka, odbierając pozwy podkomorskie z rokiem zawitym, aby z ziemi ustąpił nabijał nimi rusznice, a strzelając do góry, mawiał:

— Macie orły i sępy! was to pozywają, bróńcie się!

Tak-to się wówczas praktykowało: wojewoda przez swą nadworną milicję, sam sobie wyrok egzekwując, wioskę najechał; Czczotka, nieuznając prawa mocności wyroku, poczytując to za gwałt, chciał siłą siłą odeprzeć, a zebrawszy kilkunastu swoich chłopaków, zbrojno wystąpił. Lecz *nec Hercules contra plures*: musiał uleść przemocy, a do tego nieborak guza schwytał, który go na łożu obalił.

Tragiczny, zaiste, był koniec: już z wiosną, ulegając fantazji pańskiej, jałowe, niedostępne skały pokryły się tysiącem robotników. Jak biednego Czczotkę, tak orły i sępy wypłoszono z odwiecznych siedlisk stukiem toporów i oskardów i hukiem skał wysadzanych prochem w powietrze.

Runął ów piękny dworek dwubarwny, odwieczna siedziba pokoju i pracy kilku pokoleń Czczotków, a kiedy ostatni jego słupek padł pod siekierą przemocy, biedna pani Maciejowa padła bez czucia i Bóg jej oszczędził smutnego widoku dalszej ruiny.

Nie wiem jak dawno do dykcyonarza przysłów wciągnięto owo tak utarte *ce que femme veut Dieu le veut*, (czego chce białogłowa tego chce i Bóg), atoli widzi mi się, że, poczynawszy od matki Ewy, częstującej ojca Adama zakazanym owocem,

istnieje to w zasadzie. Nadszedł tedy ów nieuchronny, zapowiedziany siłą niewieściego kaprysu dzień S-ty Anny, a wszechmogące „fiat“ potężnej solenizantki sprawiło cuda, o których prosty śmiertelnik śnić-by nawet nie śmiał.

Anibyś poznał owej skromnej Czczotki, tak ją w krótkim czasie przeobraziła laska czarownika, *vulgo* mieszek pański. Spójrzmy na nią w urocznej chwili, kiedy całem życiem uroczystość zawrzała, a z nastaniem zmroku tysiące płonących beczek smolnych jakby zapaliły ze wszech stron skałę, aż się ptactwo leśne rozleciało, zdziwione i przerażone, nie zdając sobie sprawy, co się stało z ich cichem a spokojnem siedliskiem. Drzewa obwieszane różnobarwnymi lampkami zdawały się wydawać ogniste owoce. Na miejscu, gdzie ongi stał skromniuchny dworek, gniazdeczko kilku pokoleń Czczotków, wznosiła się jakaś rotunda zbudowana z brzozy nieodartej z kory; a z otworów jej buchało światło, widniały przez nie stoły bogato zastawione, liczna służba galonowana oczekiwała przybycia gości, kapela stroiła instrumenta.

Ow potoczek, co tak cicho się toczył u stóp dworku, dziś się burzył kaskadami, szumił, przesłakiwał kupy kamieni, odbijając w bystrych falach pozawieszane nad nim światła.

Chatki wieśniaków, miasto skromnych strzech słomianych, pokryły się gotykami dachami przywieżczkach. Tu i ówdzie rozrzucano marmurowe posągi i grupy. Drzewa stare rosnące siędy tedy, jak je przed wiekami ręka Stwórcy rzuciła, ujęto w klomby i kazano im rosnąć według prawideł sztuki.

Na owej krętej i przepaścistej drożynie, gdzie niespełna przed rokiem mały wózek patrona z trudnością się przesunął, szerokim gościńcem w skale wykutym, paradowała liczna kawalkata, złożona z kolas, karoc, a jezdnych, którychby skromna kotlinka przed półrokiem nie była w stanie zmieścić. Za ukazaniem się kawalkaty nowa przybywała świetność; puszczoneo niezliczoną moc ogni sztucznych, przedstawiających słońca, gwiazdy, zwierzęta, słowem: to wszystko, co Bóg łaskaw stworzył dla magnackiej uciechy.

Trzeba wiedzieć, że pan wojewoda na imieniny ukochanej małżonki, której znaczną część swej iscie królewskiej fortuny zawdzięczał, miał we zwyczaju rokrocznie wyprawiać niespodzianki i jak niosą kroniki zbytku, ta zabawa wyprawiona na Czczotkę wszelkie inne świetnością i wspaniałością, prześcignąć miała: dlatego dziś nie nam, karlikom wobec dawnej siły i potęgi antenatów, pokusić się o odmalowanie tego, jak-to oni umieli rozpraszać te skarby, które ich podupadłym potomkom, niestety, jakżeby się przydały!

Miała prawdziwe szczęście owa kapliczka Czczotków na urwisku skały, otoczona cmentarzem, a poza nią skromna chatka księdza stryja (które wyżej opisaliśmy), że sama przez się przedstawiała malowniczy widok, i dlatego ręka sztucznego przeobraziacza skromnej wioski w pyszne ogrody pozostawiła wyjątkowo tę część skały nietkniętą. Nawet ornamenta samego festynu skąpo ją udarowały, gdyż tylko dokoła cmentarzyka kilka smolnych beczek rozpalono, pozostawiając tę część urwiska w malowniczym półcieniu.

Podczas kiedy uczują i weselą się panowie otoczeni pochlebstwem dworaków, na którym nigdy złotym cielcom nie zbraknie — zajrzyjmy do domu Bernardyna pod cmentarzem.

Chatka ta na wyniosłym pagórku sama przez się stanowiła malowniczy widok, czemu zapewne zawdzięczała, iż nie przekształcono jej dla ogólnej symetrii przepychu w jakąś altanę i nie upstrzono sztuczną ozdobą. Poza żywym płotem z dzikiego powoju, kwitł piękny ogródek, staniem zakonnika rozmaitemi krzewami ubarwiony, w cieniu gęstym zaś drzew przy kilku ulach pracowite pszczoły brzęczały; we wszystkim widniała umiejętnej i gospodarnej ręki opieka, przy wzorowej czystości i porządku.

W środku ogródka domek szczupły składał się z dwóch izb, przedzielonych niewielką sienią; jedna z nich stanowiła pracownię zakonnika, który na chwałę bożą wosk własnej pasieczki na

1) Alluzja do stroju p. Tomasza, złożonego z kolorów: żółtego z niebieskim, herbownych Potockich, których adherenci i przyjaciele tego domu używali nie była to wprawdzie dla szlachty trzymającej się tej klaniki, barwa obowiązkowa, ale rodzaj pochlebstwa, zasadzający się na używaniu takzwanego: „przyjacielskiego munduru“.

świece kościelne dla swego konwentu przetapiał; druga izba, o jednym oknie, nakształt celi mniszej, posiadała to ubóstwo reguły zakonnej, którą jej mieszkanię, choć oddalony od klasztoru, ściśle zachowywał, sprzęt swój ubogi do tej surowości ascetycznej zastosowując.

Niemal połowę izdebki zajmowało skromne łóżko, na którym obecnie spoczywał Wincenty Czechtka; z silnego, w pełni życia, a rzeźwego męża, jakim go przed niedawnym czasem poznaliśmy, stał się starcem zgrzybiałym i bezwładnym, zaledwie od czasu do czasu jakiś ruch gorączkowy, poruszający konwulsyjnie bezsilnym ciałem, dawał znak uchodzącego życia. Bładość śmiertelna osiadła na tem, doniedawna jeszcze rumianem i czerstwem obliczu, a białe szmaty obwiązujące jego skałeczoną głowę, jako pamiątka świeżej egzekucji wyroku, nie wyróżniały się od trupiej białości twarzy.

Przy głowach starca siedziała Zosia w żalobnych szatach; żywe jej oczęta, zaczerwienione płaczem, mroczyła teraz łza skrzepła, ustaz których uśmiech ustąpił wyrazem się bólu skrzywiły; utkwwszy wzrok w obraz święty nad łóżem zawieszony, jakby ztamtąd czerpać chciała pociechę, której już zbrakło na ziemi, gałązką odpędzała owady od głowy chorego.

W nogach siedział Janek, a zakrywając twarz rękoma, był nieruchomy jak posąg, tylko niekiedy stłumione łkanie w ruch tę niemą postać wprawiało. W kącie, obok pulpitu kościelnego klęczał mnich i przy żółtej jarzącej świecy odmawiał pacierze z brewiarza, przerywając ztępienie swe w modlitwie spojrzaniem na łóżko, ilekroć się chory mocniej na niem poruszył.

Wchodzimy właśnie do izdebki, kiedy kawałką godową, spuszczającą się z góry, witano salwami fajerwerków i głosnemi strzałami. Na każdy odgłos wystrzału chorego, rzucając się gorączkowo na łóżko, majaczył:

— Oho! wojna już biją się, a my w domu. Justku, siodłaj konie, czyść broń, — wyruszajmy!

Zakonnik, powstawszy z klęcznika, zbliżył się do chorego, a kładąc znak krzyża na jego scho-rzałem czole, uspakajając:

— Bóg z tobą, mój synu, to przewidzenie... ot: lepiej możebyśmy się pomodlili, razem, niema przecie żadnej wojny...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Najnowsze odkrycia naukowe i wynalazki.

Magnetyzowanie myśli. — Przepowiednie meteorologiczne. — Wskazówki podane przez Gasparin'a i Fitz-Roy. — Czerwone Skóry w paryzkim ogrodzie aklimatyzacji. — Wagon powietrzny. — Dyament fenomenalny. — Kobieta 124 lata licząca. — Potwory z lasów brazylijskich. — Ropucha rogata.

Świat paryżki obecnie zajmuje się z żywym zaciekawieniem doświadczeniami profesora Klau-dyusza Perronnet'a, który bez żadnego pośrednictwa znaków widomych, bez wyrzeczenia jednego słowa, magnetyzuje wyłącznie tylko *myśl*.

Niema tu żadnego szarlatanizmu; professor znany jest z licznych prac na polu naukowym, a niedawno w Przeglądzie *Wiedza i Natura*, wychodzącym w Paryżu, pomieścił obszerny artykuł w przedmiocie tych osobliwszych zjawisk fizjologicznych. Perronnet powołuje się w nim na mnóstwo doświadczeń szkoły mesmerowskiej, a mianowicie Puységura, Potet'a, Bertrand'a, De-leuze'a, oraz Braid'a, Charcot'a, Burq'a, a niemniej i na rezultaty własnych spostrzeżeń.

Przelew myśli na medium, powiada Perronnet, zachodzi tak w stanie zupełnej bezwiedności, jak i w stanie świadomości. Expert może naprzykład w danej chwili, gdy zechce skupić całą swą siłę umysłową, duchową, psychologiczną, i przenieść ją na osobę wybraną, a ta, potęgą jego woli, zapadnie w stan hipnotyczny i w katalepsyę.

Expert wywiera ten wpływ bez żadnego gestu, nie wymawiając jednego słowa: a pomimo tego

medium przezeń wybrane całą swą postacią uwi-docznia, że doznaje wrażenia. Powieki jego drga-ją, poczem zostają zniemuchomione, przechodząc w stan znieczulenia kataleptycznego.

Medium, zapytywane przez experta, zeznaje, że nie może oprzeć się skłonności do snu, że ulega woli obej. Zjawiska te zachodzą, gdy medium jest hipnotyzowanym jedynie siłą myśli.

Doświadczenie zawsze się udaje, jeżeli tylko była wiara w skuteczność użytych środków, jako to w waniekę Mesmera, przecik Puységur'a po-ciągi magnetyczne, wodzenie palcem, magnety-zowanie spojrzeniem, a nawet i wtedy, gdy nie używa się żadnych symbolów widomych zmy-słów.

Jedną z charakterystycznych cech siły myśli jest wprowadzanie w stan bezwiedny osób pozo-stających w stanie zupełnej świadomości.

Perronnet podaje fakt godny zaznaczenia. Dwie osoby, powiada, idące obok siebie po szerokim go-scińcu, nagle po długim milczeniu wyrażają jed-nocześnie myśli identyczne, w jednobrzmiących prawie słowach.

Identyczność ośrodków nie może tu objaśnić tej zgodności automatycznej w psychicznych pro-dukcjach tych osób, zdarza się często, że te wra-cając nagle do stanu świadomości, dziwią się tej jednomyślności, i wyrażeniom pojęć niezgodnych niekiedy z ich przekonaniem. Fakta tego ro-dzaju może tylko objaśnić przelew myśli.

Niezawsze medium zapada w stan hipnotyz-mu zupełnego: fazy, przez jakie przechodzi, do-zwalają studiować walkę staczaną pomiędzy świadomością a bezwiednością, w której najczę-sciej ta ostatnia zwycięża. Daje się wówczas zaobserwować odrzucenie w tył szyi, ścieśnienie się gardła — trudność lub niemożliwość polykania śliny, nudności i zawroty, zaburzenia w organach wzroku i słuchu i zwięźnienie klatki piersiowej. W tej chwili medium zdaje sobie sprawę z tych wrażeń i hallucynacji i nie potrzeba zwracać jego uwagi na ten przedmiot. Zdziwienie, jakie się w jego postaci przebija, dowodzi, że wola nie odgrywała w tych skutkach żadnej roli, jak-kolwiek pamięć ich pozostaje.

Po przeprowadzeniu medyków przez wszystkie stany, w jakich bezwiedność dochodzi do stopnia najwyższego, Perronnet budzi je nagle i zapytuje: o czem myśleli? Jeżeli medium pozostawało w stanie półświadomości, to po przebudzeniu się przypomina sobie ostatnie myśli narzucone mu w stanie bezwiednym. Z zapytaniem wszak-że potrzeba się pośpieszyć, gdyż po dłuższym u-pływie czasu wspomnienia zaciera się i pamięć całkiem zanika, pod wpływem powrotu do świa-domości. Z rezultatów pozyskanych przez Per-ronneta zaznaczamy następny. Młoda dziewczyna, nerwowa, wrażliwa, z wyobraźnią żywą, do-znaje wielkiego wzburzenia pod wpływem palca, wskazującego prawej ręki, zapada w katalepsyę z zachowaniem ruchomości członków. Expert uderza jej dłoń jedną o drugą: ciało natych-miast drętwieje, następnie katalepsyę przechodzi w stan sztywności, poczem expert dmucha w oczy dziewczynie, a ciało jej w tej samej chwili traci sztywność. Na jego rozkaz układ ciała zmienia się, mięśnie mięknie bezzwłocznie i występuje stan letargiczny. Wreszcie na rozkaz magne-tyzera dziewczę przechodzi w extazę; poczem w chwili przezeń oznaczonej dziewczyna staje się lunatyczką i wykonywa czynności najrozmaitsze.

Teżsame rezultaty otrzymano, nie posługując się ani słowem, ani żadnym znakiem; ciało przed-tem letargiczne stawało się kataleptycznym i od-wrotnie.

Zgodnie z wolą magnetyzera medya doznają wrażeń ciepła lub zimna w całym ciele; lub też uczuwają ciepło w jednej części ciała, a zimno w drugiej.

Należy nam też zaznaczyć zjawisko bardziej jeszcze zdumiewające. Perronnet siłą myśli wma-wiając w medium, że szklanka wody najczystszej jest środkiem przeczyszczającym lub trującym, dokonywał tego, że w organizmie jego objawiały się wszelkie symptomata wywoływane lekami czyszczącymi lub trucizną.

W stanie lunatyzmu, hipnotyzmu i katalepsyi z zachowaniem ruchomości członków, medya mó-

wią a tem samem mogą dowieść, że czytają w my-sli experta. Natomiast w letargu, w katalepsyi, po-łączonej ze sztywnością członków, i w stanie ex-tazy, medya nie wymawiają jednego słowa; nie-mniej wszakże pozostają zawsze pod wpływem si-ły myśli experta, ponieważ zgodnie z jego wo-lą przechodzą z jednego stanu do drugiego i je-dnocześnie ich ciało uwiadcza tak stan letar-giczny, jak i kataleptyczny.

Według Perronnet'a medya porównywać można do extatyków, kataleptyków i lunatyków, gdyż rozdwojenie się ich istoty jest widocznym wsku-tek samohipnotyzacji. W gorączce ich umysłowej obserwujemy, jak u lunatyków, nadmierne podniecenie zmysłów, zbytek uczuciowości i wła-sność przelewania drugiej osobie nadmiernego po-dniecenia nerwowego.

Do przelewu myśli nie potrzeba według Per-ronnet'a, świadomości. — Przelew umysłowy jest zjawiskiem stałym; wszelkie jestestwo żyjące odrzuca i przyjmuje promieniowania psychiczne, w skutek których przejawiają się pojęcia wspól-ne jednostkom odbierającym te wrażenia.

Bernheim z Nancy w przelewie hipnotycznym upatruje niepospolity środek leczniczy. Twierdzi on, że podczas snu hipnotycznego znikają wszyst-kie symptomata chorobliwe, że temsamem me-todą tą można przywracać zdrowie.

MóŜg, ulegając temu wpływowi, czyni co może, dla zobojętnienia symptomatów istniejących: przy-wrócenia czułości, usmierzania bólu, pobudzenia nerwu zdętwiałego, — jednym słowem: dla złago-dzenia zaburzeń *dynamicznych*, a są one liczne i niekiedy wytwarzają chorobę lub jej skutki.

Zpóśród rezultatów otrzymanych przez Bern-heim'a, wymieniamy jeden, zaiste, godny uwagi. Pewien młody człowiek wskutek złamania ręki nie mógł po wyzdrowieniu pisać tak kaligraficz-nie, jak przedtem. Jednego dnia Bernheim ka-zał mu coś przepisać. Niestety, pismo było baz-granią niedozniesienia. Bernheim przedsię-wziął odbyć z nim doświadczenie; gdy młodzie-niec zasnął, zaczął w niego wmawiać, że może pisać bez trudności. Próba nie udała się. Nie-zrażony tem, Bernheim powtórzył ją, hipnotyzu-jąc młodzieńca energiczniej. Już podczas snu młody człowiek mógł lepiej pisać, a po przebu-dzeniu się odzyskał całą swą dawną zdolność i stawiał najpiękniejsze litery.

Nadmienić winniśmy dla uzupełnienia tego wszystkiego, że Philips fizjolog już od roku 1862 przez kilkanaście lat odbywał podobne doświadczenia, stwierdzające wpływ siły umysłowej.

Doświadczenia i fakta stwierdzone przez Phi-lipsa objęte są w jego pracy drukowanej w 1865 roku pod tytułem: *Elektrobiologia*, oraz w dziele późniejszym: *Kurs teoretyczny i praktyczny braidyzmu i hipnotyzmu*.

Czy będzie pogoda? Oto pytanie powtarzające się codziennie w każdej porze dnia. Najmniej-sze zaburzenie atmosferyczne doprowadza każ-dego do tej zagadkowej kwestyi. Potrzeba być meteorologiem z professyi i to niepospolitym, aby choć w części zaspokoić powszechną ciekawość w tym przedmiocie. Jakkolwiek czasy astrolo-gów i magów minęły i niepodobna przewidzieć zwykłego śmiertelnikowi, czy nastąpi deszcz lub pogoda, to jednak znajdujemy prawie w każdym kalendarzu przepowiednie meteorologiczne. Gdy-by zmartwychwstał Nostradamus, byłby w swoim żywiole. Czyż nie mamy zresztą proroków prze-powiadających dni pogodne lub dżdżyste, z ruchu księżycowego, ze złączenia planet, z liczby i z bie-gu gwiazd spadających?

Najbardziej z tych wróżbitów jest bez-wątpienia kapitan Delaunay, który w ubiegłym roku przez pewien czas w dzienniku *Figaro* ogła-szał swe przepowiednie w półmiesięcznych prze-rwach czasu, opierając się na prawdopodobnych zmianach barometru.

Wszystkie te prawdopodobieństwa, razem wzię-te, pozwalały jedynie szanownemu kapitanowi przepowiadać czas niepewny, niepokodny, dość niepokodny, średni, bez objaśnienia do jakiej oko-licy kuli ziemskiej odnoszą się owe prorocstwa, czy do Paryża, czy do Bruxelli, do Tombaktu lub Honolulu.

Zięć i następca sławetnego Mathieu orzeka

corocznie w swym kalendarzu, przepelnionym faccycami *ejusdem farinae*, który dzień będzie dżystym, a który pogodnym, lecz również nie oznacza miejsca.

Żaden z tych rzekomych proroków nie wieści prawdy. Niekiedy przypadkiem przepowiednia się ziści, co, naturalnie, napełnia jego serce dumą, ale nie liczy on doznanych zawodów, bo wreszcie liczba ich byłaby imponującą.

Wszelako wśród tych wieszczów bez żadnej wartości napotykamy coś poważniejszego; istnieją pewne znaki, wskazówki pogody lub deszczu, niezawodzące prawie nigdy obserwatorów zamieszkałych na wsi.

Wiadomo powszechnie, że barometr spada, gdy ma nastąpić deszcz, a wznosi się w czasie spodziewanej pogody. Wysokość średnia kolumny rtęci zmienia się odpowiednio do miejscowości; zniża się nagle, gdy wdzieramy się na jaką wyniosłą górę. Ta wysokość przeciętna zmienia się zgodnie z kierunkiem wiatru panującego w punkcie obserwowanym; wznosi się mianowicie tam, gdzie wiatry dmą pomiędzy północą a wschodem, a zniża się, gdy wieją w pasie między południem a zachodem. W pierwszym razie zwykle mamy pogodę, w drugim prawie zawsze deszcz.

Ciepłomierz może dawać niemniej użyteczne wskazówki; zwłaszcza, gdy je porównywać będziemy z fluktuacją barometryczną. W zimie, gdy ciepłomierz obniża się nagle do 4 lub 5 stopni, wiatr prawdopodobnie wieje od strony południowo-zachodniej, przechodząc w stronę północno-wschodnią. Jest to zwiastunem pogody. Wszelako jeżeli prąd równikowy nie jest zbyt odległym, następują mgły. W lecie duszący upał i wilgotne powietrze w czasie bezwietrznym jest przepowiednią nieomylną burzy.

Według Gasparin'a wiatr płynący z okolic ciepłych i wilgotnych, w połączeniu z minimalnym znizieniem się temperatury, jest wskazówką nieochybną deszczu, który spada tegosamego dnia lub następnego. Jeżeli minimalna temperatura wznosi się przy wietrze zimnym i suchym, może spaść deszcz wskutek przepływu wiatru z południa. Maksymalne podwyższenie temperatury, powiększające się stopniowo, wróży deszcz.

Jeżeli po deszczach napędzanych wiatrem południowym lub południowo-zachodnim, nastąpi pogoda wskutek wiatru zachodniego lub północno-zachodniego, i jeżeli ciepłomierz wznosi się nie będzie trwałą pogodą, wróży to powrót deszczu, który sprowadza wiatr południowo-zachodni. Wskazówki kapucyna (barometr), pokrywającego głowę kapturem przed zbliżającym się deszczem, nie są bezużytecznymi. Gdy obniża się barometr, gdy wznosi się temperatura minimalna a hygrometr uwidoczni wilgoć, prawdopodobnie deszcz jest blizkim. Obniżanie się barometru w połączeniu z hygrometrem, okazującym suchosć powietrza, i ciepłomierzem, utrzymującym się w mierze, mogą być wskazówkami pięknej i trwałej pogody. W jakimkolwiek dniu, jasnym czy chmurnym, gdy niebo jest różowe po zachodzie słońca, zapowiada to pogodę. Niebo przyćmione, mleczne, wróży wiatr lub deszcz. Niebo szarawe zrana zapowiada pogodę. Jeżeli pierwsze brzaski dnia zdają się górować ponad warstwą chmur, spodziewać się należy wiatru; jeżeli brzaski te występują przy horyzoncie, oznacza to czas piękny. Rzadkie chmury z konturami niedobrze odznaczonymi, zwiastują pogodę i wiatr umiarkowany. Chmury gęste z konturami wyrazistymi poszarpanymi, są przepowiednią wiatru. Niebo ciemno-błękitne, przyćmione, zapowiada wiatr; niebo jasno-błękitne oznacza pogodę. Im chmury są rzadsze, tem wiatr wiać będzie słabiej, im są gęstsze, ostro powykrawane, tem wiatr będzie silniejszym. Niebo żółtawe, oświetlone mocno przy zachodzie słońca, wróży wiatr; niebo jasno-żółtawe deszcz przepowiada.

Małe czarne chmury wskazują deszcz; chmury rzadkie, łączące się z gęstymi, są sygnałem wiatru lub deszczu.

Chmury wysoko położone, w kierunku odwrotnym chmurom dolnym, oznaczają zmianę wiatru. Po dniu pogodnym pierwszymi znakami zmiany są chmury wysoko wzniesione w rzadkich gromadach, potem chmury smugowe, przyćmiewające

w krótkim czasie niebo. Jeżeli chmury zniżają się lub utrzymują w jednej wysokości, to zwiastują wiatr lub deszcz, gdy zaś wznoszą się i rozpraszają, są znakiem pięknej pogody.

Ptaki unoszące się wysoko zapowiadają pogodę i wiatr umiarkowany; jeżeli zaś lot ich jest niskim, oznacza to silny wiatr i burzę. Jaskółki latające tuż przy ziemi, w obrębie zabudowań, są zwiastunami deszczu.

Te wskazówki Gasparin'a uzupełnia admirał Fitz-Roy.

Według tego fizyka blade słońce oznacza deszcz, równie jak słońce sprowadzające duszący upał. Błada barwa księżyca, koła współśrodkowe mniej lub więcej ciemne otaczające tego satelitę naszej planety, rogi jego źle odznaczone, i aureola świetlana roztaczająca się około niego—są przepowiedniami deszczu. Gwiazdy przed deszczem podobne przedstawiają wskazówki. Niebo białe przepowiada deszcz. Mgły opadające i rozpraszające się całkiem bez tworzenia smug, oznaczają zbliżającą się pogodę; mgły zaś wznoszące się w górę i wznawiające się dzień po dniu, zwiastują deszcz. W takie tylko przepowiednie wierzyć można, gdyż sprawdzone one zostały doświadczeniem i poparte są świadectwem znakomitych meteorologów.

(Dokończenie nastąpi).

BALLADA.

....„Jesteś przesliczna, biała, różowa;
Duszę masz czystą jak z nieba;
Ja jestem silny—droga gotowa....
Czegóż nam więcej potrzeba?

„Przed nami góry strome, surowe,
Lecz, luba, cóż to nam szkodzi?
Znajdziemy sobie gościńce nowe—
Jesteśmy dumni i młodzi.

„Patrz, z białej skały strumień wybuchu,
A ciemnych świerków gromada
Patrzy się w głębie i szmerów słucho,
Jakiemi dźwięczy kaskada.

„Strumień się rzuca, rozrywa pęta,
Skacze i w przepaść zapada:
Usiądźmy słuchać, bo to zaklęta
Ponura jakaś ballada“.

Niegdyś, u niebios progu, przed laty,
Wśród gwiazd tonących w błękicie,
Stał duch swobodny, piękny, skrzydlaty,
I prosił Boga o życie,—

O życie, w którym moc uniesienia,
Wśród myśli stworzona wrzawy,
Wybuchu świętym żarem natchnienia
Nad świata tego kurzawy.

O życie błagał, w którymby siła
W ducha zawarta głębinie
Tworzyła światy nowe i żyła
W twórczości rozkosznym czynie.

Bóg słuchał prośby i rzekł po chwili:
— „Więc może chcesz być aniołem,
Co zadumany w otchłań się chyli,
I gwiazdę nosi nad czołem—

„A swoją twórczość zasadza na tem,
By skrzydeł swoich jasnością
Objąć świat cały i z całym światem
Dla mnie rozgorzeć miłością?“

— „Nie!“ —Zatem dalej Stwórca się pyta:

— „Może chcesz być cherubinem,
Co meteory zbłąkane chwytą
I swojej litości czynem

„Wiedzie napowrót te błędne blaski,
Gdzie ja im świecić kazałem,
I dla tych drżących błagając łaski,
Litości jest ideałem?“

— „Nie!“ — „A więc może chcesz być tym duchem
Co trzyma lutnią harmonii
I czujnym swoim, subtelnym słuchem,
Najbliższe drgnięcie ironii,

„Gniewu i zemsty, co się gdzieś zbroi,
Odczuwa istotą swoją,
I lekką ręką lutnię tę stroi,
Gdy się jej struny rozstroją?“

— „Nie!“ — „Serafina zatem istotę.
Może chcesz przyjąć na siebie,
Co w zachwyceniu skrzydła swe złote,
Na cichem rozkłada niebie,

„Na skroniach nosi wieniec liliowy,
W piersiach ma spokój bezdeny,
Z pociechą zawsze spłynąć gotowy,
Gdzie czuwa smutek bezsenny?“

— „Nie!“ — „Czegóż zatem żadasz odemnie,
Duchu, do życia stęskniony?
Wiedz, że mnie nigdy jeszcze daremnie
Nie wzywał głos rozpragniony“.

— „Panie! Wieczności i życia królu,
Niech wola twa nie odwleka
Celu mych pragnień. Chcę walki, bólu!
Ah, daj mi życie człowieka:

„Wlej w piersi moje żar namiętności,
Ale i siłę daj męża;
Niechaj bój toczę i niech trudności
Moc mojej woli zwycięża.

„Niech wszystkie życia mojego drogi,
Oстрым się cierniem najeża,
Niech róże więdną a rosną głogi—
Twarde kamienie niech leżą!

„Niech walka, co dnia ze snu budząca,
Pobudką będzie do męztwa,
I niechaj fala życia gorąca
Unosi mnie do zwycięstwa.

„Walki chcę, burzy, przeszkód łamania—
Chcę ciężko, ciężko pracować;
Nie chcę wytchnienia mieć ani spania,
Na wicherze pragnę nocować.

„Nie chcę być w niebie białym aniołem.
Ni złotym gwiazd cherubinem;
Walka niech będzie moim żywiołem,
A twórczość ducha moim czynem!

„O, daj mi wolność, abym swe cele
Sam stawiał sobie w przestrzeni
A gdy dosięgnę, to na ich czele
Pójdę jak anioł z promieni—

„Wrócić, o Panie, na twoje łono,
Z wiernego ducha pokłonem,
U stóp twych złożyć skroń uwieńczoną
Zadaniem życia spełnionem.“

I duch się skłonił w progach błękitu,
Skonczywszy pragnień swych spowiedź,
A z królewskiego niebiosów szczytu
Bóg taką dał mu odpowiedź:

„Duchu! dla czasu chcesz rzucać wieczność?
Dla walki — spokój w błękitach?
Wiedz, że na ziemi śmierci konieczność
Przerywa w końcu walk życie.

„Czy się nie lękasz, że tam, na dole,
Na ziemi, ty bez wytchnienia,
Będziesz się męczył, z myślą na czole
I z sercem pełnym pragnienia?!

„W sercu twem będzie żar wiecznie płonąć,
Aż staniesz nad śmierci progiem,
Aby po walce we mnie zatonać,
Com jest twym sędzią i Bogiem.

„Lecz tam cię czeka walka potężna,
W głębinach własnej twej duszy —
I wola twoja, dziś tak orężna,
Jutro się może rozkruszy“

— „Panie! — zawołał duch w uniesieniu —
Najmniejszej nie czuję trwogi,
Bo po wędrówki ziemskiej spełnieniu
W ojcowskie powrócę progi!“

Rzekł i w tej chwili, sprawy tajemni,
W ciało się młode obleka,
I na rozkwitłej wiosennie ziemi
Staje w postaci człowieka.

Dokoła rosły fiołki i róże,
A z lekkim wiatru powiewem
Głosy skowronków w podniebnym chórze
Rozkosznym płynęły śpiewem.

Lecz naraz zjawił się przed człowiekiem,
Duch jakiś, mieniać się panem
Rządzącym tutaj przed wieków wiekiem —
Silnym despota, szatanem!

Stali nad brzegiem wielkiej przepaści,
Gdzie jest granica natury;
Człowiek się bronił ducha napaści....
Błagalnie patrzył do góry....

Szatan na niego ciskał płomienie
I dymu ogniste kłęby,
Lał w serce rozpacz, w rozum zwątpienie
I ciągnął nad piekła zręby....

I raz do nieba ułatał człowiek,
Z glorią błogosławieństwa;
To znowu szatan ogniem zpod powiek
Połyskał szaleńcem zwycięstwa.

Człowiek się bronił i woli grotem
Ciskał w szatana pierś twardą,
Aż w końcu szatan upadł z łoskotem,
W przepaść strącony ze wzgardą

Znowu kwitły wkoło fiołki i róże,
A z lekkim wiatru powiewem,
Głosy skowronków w podniebnym chórze
Przezyczystym płynęły śpiewem.

Bóg nad przepaścią strumień zarzucił
W kaskady w srebrzyste wstęgi,
A wolną wolę w granit obrócił,
Jak posąg wiecznej potęgi.

Człowiek na ziemię, wzruszeniem blady,
Dziękczynnem upadł kolanem....
W strumieniu szumi taktem ballady —
Walka człowieka z szatanem.

Skały granitu stoją na straży,
A strumień gwałtownie spada....
Szatan z otchłani wyjść się nie waży....
I tak się kończy ballada.

— „Różowe chmurki ciągną się po niebie —
Czoło się w myśli powleka,
Ty patrzysz na mnie, a ja na ciebie....
U stóp nam strumień ucieka.

„O, nie, wracajmy między tłum ludzi,
Bo w paśmie życia spletanem,
Gdy namiętności walka się budzi —
Można się spotkać z szatanem.

Szczęśna.

JAK SIĘ CZYTA WIERSZE

NOWELLA ŚWIĘTOPEŁKA CZECHA

z czeskiego przełożył

A. Lange.

Marlittowa należy do moich najulubieńszych pisarzy już z tego powodu, że tak chętnie maluje skłonność młodych dziewcząt do ludzi mego wieku. Kobieta zapewne najlepiej rozumie serce niewieście, przeto nie uważam owego dziwnego pociągu dziewczęcej wiosny do męskiej jesieni za czysty wymysł autorki, zmęczonej szukaniem nowych motywów. Dlatego też, czytając jej powieści, pieszczę się słodką nadzieją, że i na zimnych zmarszczkach mego czoła spocznie kiedyś miłość jakiegoś odmładzającego wcielenia wiosny.

Nie chcę jednak mówić o sobie: chcę wam przedstawić dwie osoby, siedzące przed skromnym probostwem, pokrytem cudnymi gestami zwojami dzikiego wina, na brzoazowej ławce, przed brzoazowym stolikiem, w małym ogródku, z którego widzieć można dwa malownicze leśne krajobrazy, a między nimi siłą wstęgą dalekiej czeskiej Strzedohory.

Jedną z osób jest chudy mężczyzna o poważnej twarzy, z energicznym orlim nosem, na którym siedzą złotem oprawne, lśniące binokle. Wąsy i włosy posiada on czarne, przy bliższym jednak badaniu można tu i owdzie rozpoznać lekkie białe przebliski przyszłej zimy życia. Zima przecież jest jeszcze daleko, naznaczyć-by mu można najwięcej lat czterdzieści kilka.

Koło niego widzimy dziewczę czternastoletnie, świeże i młode, w jasno-zielonym, domowym odzieniu, które nie świadczy wcale o należytem studjowaniu żurnali, ale przez to czyni ją jeszcze piękniejszą. Gdy czasem podniesie swą twarz, schyloną nad jakąś kanwą, masz widok równie piękny, jakby się z cienia trawy wyjrzał jaki rozkoszny barwny kwiat wiosenny. Główna jej coraz się częściej podnosi i miga pochlebnie, a figlarnie ku poważnemu panu, który mile targa sobie wosą i równa binokle na orlim nosie.

Siedzą tak w milczeniu godnem chwili. Tylko cyst świerszcz u nóg ich się odzywa; tylko ptactwo od czasu do czasu skrzydłami nad nimi zatrzepocze, przelatując z gałęzi na gałąź; tylko jakieś echo dalekie z lasu lub pola słabo ich dobiegnie.

Ale owa głęboka i uroczyście cisza zaczyna widocznie męczyć mężczyznę w binoklach. Twarz jego zlekka się zarumieniała, ciemny wąs pod nie-

cierpliwą ręką przyjmuje dziwnie fantastyczne formy, a oko jego zalatuje czasem niespokojnie ku młodej dziewczynie, jakby w nadziei, że ona przerwie to uroczyste milczenie. Ale dziewczyna nie mówi i tylko niżej chyli głowę.

Sytuacja ta powstała w sposób następujący. Professor Ostry, korzystając z wezwania swego przyjaciela, proboszcza, przyjechał do niego na święta. Był już na probostwie dwa tygodnie. Rano wychodził z księgą pod pachą do lasu, przy obiedzie wchodził z proboszczem w uczoną rozmowę, po południu znów z książką dążył do lasu, a po wieczery znów uczenie rozmawiał z proboszczem. Pierwszą przemianą w tem miłym i cichym życiu stała się właśnie ta sytuacja, w jakiej go znajdujemy przed dworkiem w ogrodzie, a spowodowała ją młoda siostrzenica proboszcza, panna Róża.

Jak wiadomo, każda dziewczyna jest trochę kokietką, choćby anielską. Główni ich, niby-to nieświadome sidił miłości, a słodkimi jej niemi otoczyć chcą w koło każdego mężczyzny, który się zjawi ich oczom. Tak i panna Róża wyrosła, jako lilia, pod baczną opieką poważnego stryja i nabożnej matki, która mu gospodarowała w zaciszy probostwa, oddalona była prawie od wszelkiego zetknięcia ze światem; a przecież głowa jej była pełna myśli takich, jak głowy dziewcząt wykarmlonych czytaniem romansów i pustymi światowemi zabawami. Professor Ostry nie przekroczył dotychczas granicy, przy której zatrzymuje się mężczyzna bez pierścienia ślubnego, nie zbliżał się nawet do niej: można powiedzieć, zniknął, i to właśnie zajmowało myśl młodej dziewczyny, a powaga i zimna wstrzemięźliwość tem więcej drażniły niewinne dziewczętko. Nie dawała mu jednak oznak swej łaski, ale starała się, aby nie zadawał się tylko towarzystwem proboszcza i ksiązek, ale zajął się też trochę jej małą, powabną osobką. Na wpół nieświadomie tęskniła za jakimś romantycznym epizodem w jednostajnym życiu na probostwie, za epizodem, w którym profesor Ostry grałby rolę rycerza, a ona jego damy — choćby żartem. Taka sieć przezornie i wytrwale i dziś zadzierzgnęła pierwsze jej nici koło swojej ofiary. Proboszcz ze siostrą odjechali do pobliskiego miasta, a gdy Ostry wieczorem wracał z lasu, znalazł pannę Różę samą, w ogrodzie przy stoliku, gdzie zwykle z proboszczem wieczerał. Pozdrowił ją niemiym ukłonem i przysiadł koło niej na ławce brzoazowej. Co po długiej chwili potem się działo, opisałem wam już poprzednio. Po długiej tedy chwili professor zdjął binokle, otarł je bardzo starannie, ułożył je porządnie na orlim nosie, kaszlnął — i znowu milczał. — Milczał, a wąs jego, rozpaczliwie targany, przemieniał się w jakiś czarny chaos. Jednak wzrok profesora coraz częściej zwracał się ku młodej dziewczynie, która spoglądała na niego z wyrazem oczu trochę złośliwym.

Później rękę włożył w zanadrze; zatrzymał ją tam chwilę, oko mu zabłysło pod binoklami, a z ust wybiegło zapytanie:

— Czy pani się nie nudzi?

Niezręczne to pytanie zaambarasowało pannę; zarumieniała się i odrzekła:

— Owszem, niekiedy....

— Chciałem pani — ciągnął professor Ostry z wahaniem, wyjmując z bocznej kieszeni ozdobnie oprawną książkę — chciałem pani ofiarować ten zbiorek wierszy, jednego z naszych najlepszych poetów.

— Ah! dzięki — szepnęła dziewczę, wyciągając rękę po książkę. Spojrzała przytem na profesora i obaczyła gorący rumieniec, który w tejże chwili zabarwił jego twarz zakłopotaną.

Nagle zaturkotał przed probostwem powóz, a wkrótce potem wszedł do ogrodu proboszcz.

Róża, w kilka godzin później udawszy się już na spoczynek, pośpiesznie wyciągnęła z zanadru pożyczoną książkę i chciwie ją otworzyła. Pierwej już zauważyła, że ze złożonych jej brzożów wygląda kartonowy znaczek; nie wątpiła, że za nim ukrywa się jakaś alluzja. Otworzyła tedy książkę, a oczy jej padły na strofkę mocno zaznaczoną czerwonym ołówkiem:

Idi spat, ma holubice čista,
I ve snu aspon na hrud'mou
Vluž blaha snitku zelenou 1).

Czytała te wiersze kilka razy; książka wypadła jej z ręki, a burzliwe myśli zawirowały jej w głowie. Postępowanie profesora przedstawiało jej się w innym, zupełnie niespodziewanym, świetle. Jego zakłopotanie, gorący rumieniec, chwiejąca się ręka, pożyczenie tej książki, wiersz zakładką i ołówkiem tak wyraźnie zaznaczony: wszystko to miało znaczenie. Niewątpliwie, Ostry użył poety, aby stosownym jego wierszem objawić swe uczucia, które drugi czas ukrywał pod maską chłodu, a których ustnie wypowiedzieć nie śmiał. Rozmyślała nad tem rozmaicie, a zawsze pozostawała jej tylko ta dziwna konkluzja. Własne to zeznanie nappełniło jej pierś szybkimi falami tajemnych, nieznanym dotąd uczuć. Obraz Ostrego unosił się przed nim w nowym czarownym świetle, które zniszczyło cienie i zmarszczki na jego twarzy i pokazało w szlachetnych jego rysach wdzięki, których dotychczas nie widziała: binokle zniknęły, a pod ciemną brwią ujrzano jego oczy czarne, smutne i żałosne, nad przepaścią niby błagające o tę zieloną gałązkę szczęścia. Niewątpliwie poetyczne te marzenia nie ukołysały jej do snu i młoda dziewczyna, przebywszy całą noc w burzy tych uczuć i myśli, rano wyszła z łóżka blada, z wyrazem bolesnego znużenia i smutku. Podczas obiadu profesor milczał. Spoglądała na niego bojaźliwie. Zdawało się, że i na jego twarzy widzi ślady bezsennej nocy. Gdy Ostry wieczorem z przechadzki wracał, spotkał się w ogrodzie z Różą. Zarumieniona, ze spuszczone okiem, chwiejną ręką podała mu książkę.

— Ah, już pani przeczytała — zapytał profesor, jakając się.

Panna Róża, milcząc, skinęła głową.

— A który wiersz pani spodobał się najlepiej?

— Sam pan zaznaczył — szepnęła dziewczę, pochylwszy głowę.

— Rzeczywiście? Ten? — zawołał Ostry z iskrzącym okiem, a palec jego spoczął w otwartej książce na zaznaczonym miejscu. — Rzeczywiście? I mnie też się najlepiej podoba ten wiersz dlatego, że znalazłem w nim jedynie poprawne i piękne *supinum* w całej książce. Właśnie chcę podczas feryi napisać książkę o *supinum* w języku czeskim; przeczytałem mnóstwo nowych dzieł z ołówkiem w rękę, aby wybrać przykłady. Ale takie czyste *supinum* jak — *idi spat* — tobie czyste, jest u naszych współczesnych białym krukiem. Ten miły rys na drogim kryształ naszej mowy zniknął już zupełnie w mowie prostego ludu, a nawet i pisarze, którzy chcieliby pisać pięknym stylem i gładko wycieniować wszystkie piękności czeszczyzny — o tym archaizmie pojęcia nie mają. Jedni wykręcają się od *supinum*, jak jak czart od krzyża, inni używają go nieprawidłowo, i taki czysty wyjątek, ak powyższy, jest bardzo, bardzo rzadkim.

KOLONIE LETNIE

dla ubogich słabowitych dzieci.

Czem są kolonie letnie, wiemy już wszyscy. Słabe, blade, niedokrweste dzieci ludzi ubogich, źle odżywiane i mieszkające w bezsłonecznych, dusznych, najczęściej wilgotnych izdebkach wąskich i zacieśnionych ulic, zostały wzięte w pocziwą opiekę przez szlachetnych ludzi dobrej woli i corok, podzielone na gromadki, wyjeżdżają na wieś: na powietrze, na słońce, na swobodę zdrowego ruchu, który krzepi w nich zdrowie i rozwija siły. Czcigodny lekarz, Dr. Gustaw Fritsche, jest obecnie organizatorem tego dobrego dzieła, jest tego dobrego dzieła twórcą rzeczywistym, bo

on zbiera fundusze, do niego schodzą się biedne matki ze słabymi dziećmi, i on wyprawia je pod troskliwą opieką do miejsc, gdzie poprzednio za jego staraniem zostało przygotowane dla nich miejsce pobytu: kolonie letnie, gdzie przebywają cztery tygodnie w dobroczynnych dla słabego ich zdrowia warunkach.

Już po raz czwarty biedna dziatwa warszawska korzysta, choć w cząstce malej, z tej miłosiernej działalności szlachetnego ich opiekuna i wytworzyła się już z tego stała instytucja, która co rok większą liczbę dzieci ogarnąć może, bo co rok przybywa funduszu, z dobroczynnych ofiar powstającego. Rok zeszły wiodący za sobą ciężką klęskę wylewu Wisły, zdawał się grozić, że datek miłosiernej na ratunek pilniejszej nędzy oddanym zostanie, a przecież tak się nie stało: zebrana summa nie tylko mniejszą nie była, ale o wiele przewyższała dawne. Gdy w r. 1882 składki wyniosły 1,536 rs.; w 1883 było już 2,017, a w ubiegłym, 1884 r., podniosły się do 2,577 rs.; oprócz znacznych darów w naturze. Żyrardowska fabryka pp. Helle i Dietrich dała wyrobów lnianych za cenę 120 rs.; Iz. Poznański 400 łokci płótna; fabryka „Wulkan” statków kuchennych i naczyń stołowych z wyborowego żelaza ilość znaczną; od p.p. Ungra i Poznańskiego przysłano też pewną ilość statków i naczyń żelaznych, wreszcie p. Wedel obdarował dziatwę odjeżdżającą łakociami: czekoladą, biszkoptami, ciastkami i różnymi takimi pożywnymi przysmakami.

Napływ dzieci był też znaczny: zgłosiło się ich blisko 200; że przecież składki przybywały powoli, że nadsyłano je bardzo późno, bo niektóre w Lipcu a nawet w Sierpniu, więc Dr. Fritsche mógł wybrać na razie tylko 98 dzieci: 63 chłopców i 35 dziewczynek. Odpadło ich zatem sto, a jak Dr. Fritsche pisze w sprawozdaniu z zeszłorocznych czynności swoich „wybór był trudny gdyż wszystkie dzieci były bardzo słabowite i rodziców biednych, i wszystkie bez wyjątku potrzebowały świeżego powietrza.”

Proszono, błagano: Dr. Fritsche uczuł się wzruszony litością, powtórzył odezwe w pismach i składki znów nadpłynęły. Pierwszy dobry przykład dała p. Emilia Blochowa; poprzednio obdarowała hojnie kolonie letnie ofiarą 300 rs., dołożyła jeszcze do nich 100. Dali i inni, otworzyła się zatem możność wysłania jeszcze na sezon drugi 31 dzieci: 13 chłopców i 17 dziewczynek. Gdy się do tego doliczy 7 młodzieńców, starszych nad lat 14, którzy za pośrednictwem Dr. Fritsche wyjechali na wieś do dworów większych właścicieli, ogólna liczba wysłanych wyniesie 136.

W 1882 r. wysłano ich 54; w następnym, 1883 r., 84; w zeszłym: 1884, już liczba ta jest prawie zdwojona. Dzieci wysłane były w roku zeszłym do czterech miejscowości, wszystko tak bliskich, że na każde wezwanie w razie choroby dziecka, lub jakiego innego wypaku, Dr. Fritsche mógłby w godzin kilka już tam być, a nawet i bez tego odwiedzać dzieci, jak to czyni każdego roku, aby przekonać się o ich wygodzie i sprawdzić stan polepszenia zdrowia. Miejscowości te są: Janów pod Mińskiem; własność p. Waleryi Trzetrzezińskiej, droga kolejną żelazną Terespolską; Jadów pod Łochowem, własność hr. Zdzisława Zamojskiego, droga kolejną żelazną Warszaw.-Petersburską; Poraj, stacja kolei żelaznej Warsz.-Wiedeńskiej, i Cexyn pod Nasielskiem, stacja kol. żel. Nadwiślańskiej, własność p. Fogla.

Dr. Fritsche podaje szczegółowo wydatki każdej kolonii. Najpierw ogólne wydatki na potrzebne zapasy, podróż tam i na powrót, wynosiła rs. 505 i coś groszy. W Poraju, gdzie było chłopców 32 i dwóch dozorców, wydano na żywienie, usługę, nadzór i pranie 697 rs. W Jadowie było w pierwszym sezonie 17 dziewcząt, w drugim chłopców 15, z jednym nadzorcą, jak poprzednio z jedną nadzorczynią; wydano rs. 440 i coś drobnych. W Cixynie 31 chłopców, dwóch nadzorców i gospodyni: wydano 634 rs. i coś drobnych. W Janowie, gdzie było z nadzorczynią w dwóch sezonach 34 dziewczynek, wydatek był 364 rs.

Gdy się do tego dodadzą owe różne, poprzednio wspomniane ogólne wydatki, w kwocie 505 rs.; wydano w roku zeszłym 2,543 rs. Że przecież pewne przedmioty, z pieniędzy tych nabyte,

służyć będą i nadal, stanowiąc stałe mienie kolonii letnich, zatem po strąceniu ich wartości, czysty wydatek na zeszłoroczne kolonie jest 2,504 rs. Żywiło się za to 129 dzieci, więc przeciętno liczony wydatek czyni 19 rs. i coś drobnych na każdą głowę. W 1882 r. wydatek ten był więcej niż 24 rs. na dziecko; w 1883 blisko 23 rs., zatem w porównaniu z liczbami pierwszego roku kolonii letnich, oszczędności w wydatkach było na każde dziecko przeszło rs. 5, co rozmnożone przez liczbę dzieci stanowi poważną kwotę przeszło 680 rs.

Tę szczęśliwą zmianę w wydatkach kolonii zawdzięczają przeważnie szlachetnej ofiarności p. Waleryi Trzetrzezińskiej, właścicielki Janowa, która, jak Dr. Fritsche w sprawozdaniu swoim wdzięcznie wspomina, nie tylko świadczyła wiele kolonii janowskiej, ale troskliwą jej staranność w ułatwieniu tam pobytu dzieci wpływała korzystnie na ekonomiczną stronę rzeczy, jak to wykazuje wyżej podana summa wydatków kolonii w Janowie.

W Jadowie p. Watson przyłożyła się również do oszczędności i dobrobytu dzieci, żywiąc je przewybornie bardzo tanim kosztem. Wydała na nie „zdumiewająco mało” pisze Dr. Fritsche, otaczając je przytem „prawdziwie macierzyńską opieką.” Dr. Fritsche dziękuje gorąco p. Trzetrzezińskiej, dziękuje p. Watson „za serdeczne zajęcie się instytucją i za świetny rezultat” odniesiony w roku zeszłym. Doświadczenie i pewna wprawa w wydatkowaniu tylko na rzeczy niezbędne przyczyniły się także do zmniejszenia kosztów.

Ogólny stan kolonii letnich pod względem ekonomicznym przedstawia się w roku zeszłym następująco: zebrano w gotówce 2,577 rs. z jakąś resztką, pozostało z roku 1883 wynosiła 136 rs., co razem czyni bez mała 2,714 rs. Ponieważ wydano 2,543 rs. pozostało więc przeszło 170 rs.

Dr. Fritsche dziękuje również p. Fogiel, właścicielowi wsi Cixyn, pięknej miejscowości w pobliżu drogi żel. Nadwiślańskiej, gdzie na użytek dwóch kolonii chłopców został oddany obszerny, niezamieszkały przez nikogo dwór, stojący w porządku obszerne ogrodu. W cieniem zagajeniu, po za strumieniem, który mimo ogrodu przepływa, łaskawy na gości swoich pan tych miejsc urządził na ich użytek gimnastykę, a rzadca dóbr, p. Sieciński, zajął się kolonią troskliwie i wraz z żoną swoją okazywał przebywającej tam dziatwie tyle życzliwości, że Dr. Fritsche składa i jemu żywo wyrażone podziękowanie.

Kolonia letnia, jedna, lub dwie, w Ciechocinku, byłyby dobrodziejstwem dla dzieci skrufulicznych, których znajdowało się wiele. Ale w tym czasie właśnie, kiedy dzieci wyjeżdżać mogą, korzystając z wakacji, zjazd do kąpieli ciechocińskich jest największy, i ztąd też tak pomieszkanie, jak żywność nad możność kolonii są drogie. Może Bóg da, że środki zebrane pozwolą kiedy na to — jak się Dr. Fritsche spodziewa.

Do kolonii letnich kwalifikują się stanowczo dzieci najbiedniejszych już rodziców i słabowite. Takie tylko korzystały też dotąd i nadal korzystać będą z tego dobrodziejstwa litości publicznej, bo z prawa moralnego im należy się ono najpierw. Wszystkie były ważne przed wyjazdem i po powrocie i u wszystkich wykazało się powiększenie wagi ciała dochodzące do 15 funtów co jest dowodem znakomicie poprawionego stanu zdrowia. Cztero-tygodniowy pobyt dzieci na koloniach został utrzymanym i nadal, co też wedle zdania Dra Fritsche, jest czasem możliwie najkrótszym, aby pobyt dziecka na wsi mógł wywrzeć wpływ rzeczywiście pożyteczny. Kolonie lwowskie, które wydały w roku zeszłym bardzo dobre rezultaty, także trzymały się tego czasu.

Wszelkie nauczanie, jako wysilające, więc sprzeciwiające się założeniu kolonii letnich, jest przez Dra Fritsche stanowczo zakazane, przecież chcąc dać dzieciom zajęcie i zabawę, tak przyjemną, jak umysł rozwijającą, zalecił on przedstawianie małych, łatwych sztuk teatralnych, co też praktykowano wszędzie z wielką uciechą dla biednych dzieci. W Poraju nadzorujący przekroczyli granice naznaczone tej zabawie; wydano na nią stosunkowo zawiele pieniędzy;

1) Idź spać, moja czysta gołąbko — i przynajmniej we śnie, na pierś moją połóż gałązkę zieloną szczęścia.

dzy, ale już się więcej nie podobnego nie powtórzy.

Już w roku zeszłym zauważył Dr Fritsche, że nie tylko fizyczność, ale i moralna strona dzieci, odnosi wielkie korzyści z kolonii letnich. Uczą się tam one porządku, przyzwoitego wysławiania się, przywykają do posłuszeństwa, do systematycznego życia, a wreszcie samo zetknięcie się z naturą i jej wspaniałymi widokami oddziaływa na inteligencją dziecka, które od urodzenia zamknięte było w ciasnej izdebce, wązka, zacieśniona ulica. Wyobrażenia rozszerzają się; umysł, ograniczony dotąd do małej liczby zjawisk, mogących uwagę jego zajmować, zaczyna obejmować myślą więcej przedmiotów, zatem czyni się bystrzej spostrzegawczym, władza pojmowania tak się rozwija, jak siły ciała. Pobyt na wsi jest dla uboższego dziecka miejskiego równie pożytecznym, pod względem edukacyjnym, jak i higienicznym: przeradza się ono pod jego wpływem, jakgdyby w inną, szczęśliwszą, piękniejszą istotę.

Czy zatem społeczeństwo nie powinno uważać siebie za obowiązek, aby to dobrodziejstwo stawiało się przystępnem dla coraz szerszego koła dzieci ludu? Gdyby Chrystusowa nauka miłości bliźniego rzeczywiście w sercu nam żyła, wszystkie — wszystkie bez wyjątku te istoty biedne, wydzielone z najważniejszych dóbr życia: słońca, co śle promienie swe duchom, słońca co ogrzewa ciała — wszystkie ogarnęłyby ta łaska losu. Jedno kosztowne cacko mniej w ręku dziecka bogatego, trochę mniej aksamitnych sukienek i fryz koronkowych w garderobie jego, a stałaby się ta rzecz dobra, ten obowiązek sprawiedliwości. Każda matka, chcąc błogosławieństwa bożego dla ukochanej swej dzieci, poczuć-by się powinna do podatku miłosierdzia na korzyść dziecka matki uboższej, bo i one kochają i one płaczą, łamią ręce na widok zbladłej twarzyczki, wątłego ciała, którego nie mają czym ratować. Dajcie, dajcie zatem groź dobroczynny, wy szczęśliwe, którym nigdy nie zabrakło środków dla uszczęśliwiania dzieci waszych, dla otaczania ich wygodą, rozkoszą, przyjemnością — dajcie, a będzie to oddane waszym pieczytcom, przez święte uszlachetnienie was, które je chowacie!

Marya Ilnicka.

DROBNE LISTKI.

Autor Teodory, Wiktoryn Sardou, został ozdobiony przez króla Ludwika Bawarskiego orderem Ś-go Michała.

— **Ludwik Leger** sławista francuzki, objął w d. 15 kwietnia w Kollegium Francuzkiem katedrę literatur słowiańskich po Aleksandrze Chodźce. Średnio gorący nasz przyjaciel, musiał jednak poświęcić choć jakieś wspomnienie, tak Chodźce, jak Mickiewiczowi, którego wielki cień unosi się jeszcze ponad zajętem przez niego miejscem. Prześlizgując się lekko po naukowych pracach Chodźki, czyni krótką wzmiankę o jego *Gramatyce Starosłowiańskiej*, która na skutek raportu Merimée'go była wydana kosztem rządu francuzkiego i drukowana w drukarni narodowej. Dalej wymienia *Baśnie wieśniaków i pasterzy słowiańskich*, które Michelet nazwał: „bosko tłumaczonemi”, przyznaje się, że nie może sądzić o studiach Chodźki nad językami Wschodu i jego poezją. Najdłuższy ustęp poświęcając mu jako polskiemu poecie, wspomina balladę jego *Maliny*, którą nazywa *rozkoszną* i tak popularną, że ją w całej Polsce każdy umie

na pamięć, co już jest anochronizmem od paru pokoleń. Wreszcie przytaczając słowa Sainte-Beuve'a powtórzone przez Alfreda de Musset, że Chodźko to młodo zmarły poeta, którego przeżył uczony, zadeklamował popolsku ustęp z wiersza Mickiewicza do Chodźki.

„Tyś pojał tajnie orlego lotu,
Sam orzeł tobie zazdrości...
Orzeł upada, ty latać będziesz,
Gdy Adam ginie, ty żyjesz;
Na jego tronie ty kiedyś siedzisz,
Jego się blaskiem okryjesz.”

W wierszu tym widzi Leger u Mickiewicza dar proroctwa, i choć Chodźko nie zasiadł po nim na tronie poezji polskiej, nazywa przecztym przez wieszczą tronem katedrą francuzką, którą Chodźko objął w dwa lata po śmierci Adama. Zajmując obecnie sam ten tron, obiecuje być bezstronnym i „sprawiedliwym” dla nas. Wogóle zajęliśmy największe miejsce w tej lekcji jego wstępnej. Mówił o dwóch naszych *almae matres*: o uniwersytecie Jagiellońskim i o Lwowskim, dalej zaznaczając, jakimi były „wiekowe stosunki Polski z Francją” przyrzeka nie zapominać o nich w ciągu swych wykładów i dodaje: „Są przyczyny osobliwe-go naszego zajęcia się rzeczami polskimi. Nie możemy nie wiedzieć o tem, że wskutek przewrotów losu, których nie przewidział ani Ludwik XIV, ani Jan Sobieski — posłowie poznańscy stali się w Sejmie Berlińskim najwierniejszymi sprzymierzeńcami reprezentantów Alzacji i Lotaryngii.”

— **Angielski przekład Pana Tadeusza** dokonany, jak nam wiadomo przez miss Maude Ashorst Biggs, już jest gotowy do druku i pisarz oddany studjom literatury i historii naszej. W. R. Morfill, już napisał przedmowę. Liczne przypiski objaśniające rzecz wyjdą tak z pod pióra przekładczyń, jak i naszego ziomka, Naganowskiego.

— **Polska**, szkic historyczny, napisany przez Moltkiego, wyszedł w upoważnionym przekładzie angielskim. dokonany przez E. S. Buchheim'a. Przekład uzupełniony jest notami. Wydanie londyńskiej księgarni Chapman i Hall.

— **Ratusz Paryżki** jest już pod względem architektonicznym zupełnie skończony. Wspaniałe zbiory starożytnych obić gobelinowych, należących do „Mobilier de la couronne” został dla uświetnienia uroczystości inaguracyjnej dostawionym do ratusza, dla przystrojenia Sali Rady Muncypalnej. Wiele dzienników francuzkich upomina się, aby to nie stało się objęciem w posiadanie przez Gminę Paryżką tej szacownej pamiątki historycznej, a tylko użyczeniem jej do jednorazowego użytku.

— **Bańki Mydlane**, to tytuł zbioru myśli i fantazyjnych orzeczeń, napisanych po francuzku przez Sarę Oquendo i mających wyjść wkrótce w Paryżu. Prassa Paryżka nazywa przyszlą książkę dowcipną grą towarzyską maciupiego Rochefoucauld „très parisien”, który puszcza w powietrze bańki myśli swoich. Są tam takie aforyzmy: „Uszlachcenie — pieniążek się mydło, które brudu nie zmywa.” „Spokój — szczęście w stanie skrzepłym”, „Zdrowy rozsądek — ani głupstwo, ani rozum, przepłuczki talentu”.

— **Życie Mazzini'ego** zostało napisane przez wdowę włoskiego patrioty, Alberto Mario, z domu White. Autorka, blisko związana z całą niedgdy emigracją włoską, ze wszystkimi koryfeuszami ruchu włoskiego z 1848 r., znając doskonale szczegóły życia i działalności Mazzini'ego, oraz wszystkie rysy jego charakteru, uczyniła napisaną przez siebie książkę ciekawą i szacow-

ną, jako materyał historyczny. Jest ona skreślona w języku włoskim.

— **Swinburne** poeta angielski, uznany dziś w oczymie Byrona za najwyższy talent poetyczny, napisał tragedję z dziejów Wenecyi „Marino Fallerio” i ofiarował ją patriocie, a niedgdy wygnancowi włoskiemu, Aurelio Saffi. Osią tragedyi są polityczne losy Włoch; poeta trzymał się wiernie historii.

— **Książę Aumale** uczynił z Węgierską Narodową Galleryą Obrazów zamianę. Dał jej „Ucieczkę do Egiptu” Rembrandta i „Wniebowstąpienie” Hieronima Libri, za obraz Karola Verne'ta, malowany w 1782 r., a przedstawiający księcia Orleańskiego, Filipa Egalité, i jego syna, późniejszego króla Filipa, na koniach w angielskim kostiumie myśliwskim.

— **Edmundowa Adam** pisze książkę: „Pięć miesięcy na Guernsey”, która ma być całkowicie poświęcona Wiktorowi Hugo i jego wygnanczemu życiu na tej wyspie.

— **Bismarck** nie czyta nigdy, a przynajmniej nie przyznaje się nigdy do czytania książki niemieckiej, drukowanej głoskami łacińskimi. Korrespondent berliński do wychodzącej w Lozannie „Bibliothèque universelle”, zawiadamia swych czytelników, kiedy mianowicie kanclerz Niemiec podał po raz pierwszy do wiadomości publicznej ten łacinowstręt. Michelet, ale nie francuzki, jakkolwiek pochodzący z rodziny Hugonotów, którzy po odwołaniu Edyktu Nantejskiego schronili się do Niemiec, professor filozofii na uniwersytecie Berlińskim posłał mu wkrótce po wojnie francuzkiej egzemplarz swego dzieła: *Historia Filozofii*, a to w celu, jak przyznał potem „ocalenia wielkiego męża stanu od ruiny moralnej”, którą widział on w zasadzie Bismarcka: siła przed prawem. Ale nawrócenie nie mogło mieć miejsca, ponieważ kanclerz odesłał mu książkę z tą grzeczną odpowiedzią listowną: „Ponieważ dzieło pańskie jest drukowane głoskami łacińskimi, zatem, pomimo wielkiego żalu, czytać go nie mogę.”

— **Pośmiertna opera Halévy'ego**, „Noe” była w połowie zeszłego tygodnia przedstawioną w Karlsruhe. Instrumentacja nie została jeszcze ostatecznie wykończoną, gdy śmierć zaskoczyła mistrza, ale uczeń jego Jerzy Bizet, zastąpił go; dzienniki doniosły o wielkiem powodzeniu, ale głębsza ocena nie podała jeszcze bliższych szczegółów.

Sprostowanie.

W wyjątku z poematu dramatycznego *Sokrates*, Teofila Lenartowicza w Nr. 11 *Bluszczu*, na str. 80, w łamie 2-m, wierszu 3 od góry, zamiast „opowiadań”, czytać należy: „*opowiadania*”; w wierszu 9-m zamiast „Sfinx”, czytać należy: „*Sfinxa*”; w wierszu 17-m zamiast „róż”, czytać należy: „*kóz*”.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 7-my powieści pod tyt.: *Sieroca dola*, przez autorkę powieści *Silny duch*.

TREŚĆ. Ś. p. Biskup Kazimierz Wnorowski, życiorys, przez M. Ilnicką. — Czeczotka. Powieść z dawnych czasów, (dalszy ciąg), przez P. J. Bykowskiego. — Z działu przyrody, przez W. Niewiadomskiego. — Ballada przez Szczęsną. — Jak się czyta wiersze, przez A. Langego. — Kolonie dla ubogich słabowitych dzieci, przez Maryą Ilnicką. — **Drobne listki.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-my powieści pod tytułem: *Sieroca dola*, przez autorkę „*Silny duch*”. — Przegląd mód. — 14 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Апрель 1885 года.

PRZEGLĄD MÓD.

Fasony okryć wiosennych. — Z czego się robią, czem ubiera-
ją. — Modele u pani Thones i u pani Matuszewskiej — Ka-
pelusze pani Bosz — Śliczne pióra fantazyjne pani Gliwie
(Senatorska, 20). — Kwiaty nasze. — Suknie ubrane koron-
kami. — Pasmanterye do ubierania sukien. — Nowe mate-
ryały u panien Heurich. — Dobry gust.

Okrycia tegoroczne wiosenne są w dwóch rodzajach: jedne długie zwane „płaszczami“, które zupełnie przypominają długie, od kilku lat noszone paltoty. Tylko że tamte były lekko wcięte, terazniejsze zaś są długie, zupełnie do figury z tyłu przystające, z kontrafałdą — z przodu zaś puszczone wolno, niektóre zapinane na boku na dwie duże klamry w górze i w pasie, formują albo pelerynkę od razu z rękawów, lub wreszcie oddzielną; inne mają kapturek krótki, bardzo suto garnirowany. Do takich płaszczy zarzucono zupełnie wąskie rękawy, dziś zastępują je trochę szersze u ręki, w formę lejka rozszerzone. Drugi fason okryć jest krótka, zawsze dołmanową formą wizytka, bardzo suto wełnianami koronkami ozdobiona. Oba te fasony robią głównie z szewiotów i dyagonalu, strojniesze z kaszmiru, sycylienny, a nawet grubego faille. U pani Matuszewskiej oglądaliśmy bardzo ładne okrycia wełniane z materiału prążkowanego, zwanego „crima“, oliwkowo-zielony długi płaszcz, fasonu jak wyżej, miał z przodu bluzkę ukośnie zapiętą na duże dwa fantazyjne guziki — pelerynka formowała rękawek. Kilka innych płaszczy było czarnych, wszystkie z lekkiej wełny, na fularowej podszewce, nigdzie rękawek nie występował jawnie. Bardzo ładny był czarny z bokami z koronki wełnianej, cały na fularze, z małym kapturkiem, suto jak i cały płaszcz koronkami wełnianymi przybrany. Tak materiały, jak i koronki wełniane, używane do ozdoby, są grube, puszyste, choć lekkie i prawie rzadkie.

Krótkie wizytki stanowią bardzo krótkie i formują od razu rękawek. Śliczna była z szewiotu koloru oliwiano-elektrycznego w prążki, nakrapiane ciemniejszymi supelkami, cała na fularze, z ogromnym żabotem z szerokiej koronki tegoż koloru, namarszczonym bez miary od góry do dołu; w tyle puff króciutki, z samej wstążki i koronek. Drugie całe z wełnianej koronki, a więc ażurowe, na fularowej podszewce, ozdobione w tyle, z przodu i niby na rękawach pasmanteryjnymi figurami dzetowymi, całe suto koronkami ozdobione. Najpiękniejsze jednak było u pani Thones, z szarego wełnianego koronko-

wego materiału „dentelle de laine“, na fularze zawsze krótkiego fasonu, tak z przodu, jak i z tyłu — całe bardzo suto koronkami zdobne tegoż koloru, żabot i puff tylny bezmiernie nadmarszczony. Z bogatszych były płaszcze zdobne koronkami „cambre“ zwanymi, które są dobrą imitacją „chantilly“; inny był trochę cieplejszy koloru ciemnego ołowiu, formujący rękawami dużą pelerynkę, podszyty atlasem białym w ciemne paski — inny jeszcze cały czarny, bogato przybrany pasmanterią.

Co do kapeluszy, widzieliśmy bardzo ładne u pani Bosz, której specjalnością są wykwiłtne kapelusze. Drogie paryzkie modele nie różnią się od zrobionych na miejscu. Podobnie piękne kapelusze są u panien Kuhnke. Pani Bosz nie wystawia swych modeli w oknie chcąc uniknąć, aby ich nie przerabiano, pokazuje je też tym tylko, którzy chcą kupić, co łatwo zrozumieć, bo modele są rzeczą kosztowną. U tych najnowszego fasonu kapeluszy, widzieliśmy główkę z gazy haftowanej złotą ręczną robotą; sama taka główka kosztuje w Paryżu kilkadziesiąt franków. Było to u modnej kapotki, nie wiele nad czołem wzniesionej, podgarnirowanej riuszą ze złotym brzegiem, wierzch zdobiło małe gniazdko łepków ptasząt, tylko co wyległych, gałęz złotych kwiatków drobniutkich, zielona sznelowa gałąź i koronka czarna, dzetem francuskim haftowana. Inny cały ze szmuklerskiej

torsady, kordonkiem haftowanej, miał tylko na wierzchu bardzo sutą, z kilkunastu pukli złożoną kokardę, z długimi do wiązania brydami, koloru jasnego mahoni lub grzyba, ale co to za wstążka, i nie więcej nie było na kapeluszu. a model kosztował bajecznie; ale był to „genre“ czysto paryzki — coś nie zwykłego — mamy z tych dwóch danych dowód, że owe wysokie kapotki „mitre“, sięgające nieba, nie są ostatniem słowem dystyngcyi. Śliczny był okrągły słomiany, jasno-zielony, ze śpiczastą główką, ubrany całym cieniem piór koloru rzerzuchy i wstążką prawdziwym złotem przerabianą — ten był bardzo wysoki. Kapelusze pani Bosz muszą być odrębne, bo na zrobienie ich używa najwykwintniejszych materiałów paryzkich, ale też muszą być one drogie i dostępne tylko dla osób bogatych.

Kupiwszy słomianą kapotkę, lub okrągły kapelusz w fabryce pana Lotha, gdzie obok wybornej słomy, wszystkie najnowsze fasony zawieszane są na kładzie, idzie się albo po kwiaty do jednej z naszych fabryk kwiatów, lub do fabryki piór krajowych pani Gliwie (Senatorska Nr 18), która sprowadzając przepyszne paryzkie modele i surowy materiał, to jest: pióra strusie bezbarwne duże, lub całe skóry ptaków stref południowych, przerabia je podług modeli, a sprzedaje doprawdy bardzo tanio. Do owych wysokich kapeluszy ze słomki w dwóch cieniach, są śliczne ptaki także w dwóch kolorach, na przykład: pasowy z czarnym; z pod skrzydeł ptaka wychodzą pióra strusie, a skrzydła i łepki zdobi dzet; zielony kolor tak przeważnie modny, ma tam wiele okazów, głównie fantazyjnych, stanowiących już całe przybranie kapelusza i tak: ptak zielony koloru mchu nakrapiany złotem, dwa duże liście ułożone z piór, a po nad tem śliczne marabuty nieco jaśniejsze. Wystawmy sobie zielonego ptaka, trzymającego w dziobku dwa jasno-lipowe pióra spiralnie ułożone. Złota ogromnie wiele miesza tak w piórach, jak i kwiatkach, jakieś złote ozdoby, drobne kwiatki i t. p., a już to w każdym fantazyjnym przybraniu kapelusza, jest umieszczony ptak, motyl, lub choć małe kolibry. Egretki są zupełnie w odrębny zwyczajny sposób; cieniutkie wąskie piórko zwija się w krążek, z pośrodku którego wystaje prawdziwa egretka. Śliczny był ptak na trzech liściach z piór, ozdobiony sznelą. Do kapeluszy zwanych „mitra“, czyli fasonu wysokiej mitry, są ptaszki o grubszej szyjce, niby gołąbki z rozpiętymi skrzydłami, wszystko złotem nakrapiane, z pomiędzy których wystają dwa marabuty. Ptaszki takie są we wszystkich cieniach, są nawet fantazyjnie układane marabuty ze złotem w cieniach jasnego heliotropu, równie dziś modnego, jak kolor rzerzuchy i li-
kieru „chartreuse“. Do



Nr 1.

Kostiumy wiosenne.

Nr 2

wysokich cylindrów ostatnim wyrazem mody, jest słonecznik z dwóch kolorów piór ułożony; jak technicznie nazywają pióra z podszewką, od którego idą spiralnie, z pewną fantazją ułożone dwa lub trzy takie pióra strusie; widzieliśmy takie pióra w kolorze suchego mchu z pąsowym, lub kremowe z różową podszewką. W ogóle wszystkie długie pióra strusie są podkładane, czyli w dwóch kolorach „doubleé”. Nowością jaką nam pokazywano, są małe orle piórka, dżetem kolorowym „lafofor” nasypywane, używają się do przepinania kapeluszy chusteczkami, w bizantyjski deseń ubieraniem.

Ponieważ nasz przemysł kwiatowy jest jedną z ważniejszych gałęzi pracy kobiecej i przyczynia się do ekonomicznego dobra kraju, bo zachowuje nam kapitał, w stosunku do naszych niebogaty zasobów znaczny, więc uważam sobie za obowiązek zbierać błędne i bezpodstawne zdanie, wygłoszone w jednym z pism, jakoby najpierwsze nasze kwiatarnie, a między innymi pani Szymkiewiczowa, dopuszczały się podstępów sprowadzania z Paryża pojedynczych kwiatów i takowe podając za swoje, sprzedawały, a własny wyrób wysyłały za Żelazną Bramę, gdzie dopiero zbyt znajdują.

Trzeba nam wiedzieć, a sądzę, że większość czytelniczek naszych to wie, iż pani Szymkiewiczowa, która słusznie zajmuje wśród kwiatarstwa naszego jedno z miejsc pierwszych, uczyła się sztuki swojej w Paryżu, u najslawniejszej tamtejszej kwiatarki Delaroché, która jedna tylko w Paryżu uczy kolorowania kwiatów. Pani Szymkiewiczowa udziela też lekcji prywatnych kolorowania po 3 ruble za godzinę, musi zatem umieć to dostatecznie. Ale odsuwając to wszystko na stronę, trzeba się dziwić szczególności zarzutu, bo jakież mógł być powód podobnego postępowania. Kwiaty paryżskie z pierwszorzędných fabryk, płacą się niezmiernie drogo, a że do tego przychodzi wysokie cło, które w złocie płacić trzeba, ceny paryżskich kwiatów prawdziwie pięknych, dochodzić by u nas musiały cen bajecznych, gorsze zaś nie wartoby było sprowadzać, boć przecież od dawna już robiono u nas kwiaty podobne i można by je mieć zawsze na miejscu za połowę kosztu i zachodu. U nas często grzeszą mało sumienne firmy w przeciwny sposób, który przecież zrozumieć można, podają za wyrób zagraniczny to, co u nas na miejscu się wyrabia, ale wydawać ogromne pieniądze i dopuszczać się podstępów, dla pochwalenia się przed publicznością? Można by jeszcze przypuścić rzecz podobną na polu artystycznym, ale w handlu — rzecz wcale nie do pojęcia. Zarzut inny, jakobyśmy pięknych prawdziwie róż i kwiatów nie mieli zupełnie, jest też nie słuszny i nieusprawiedliwiony niczem. Róże, będące specjalnością p. Olędzkiej otrzymały medal nie tylko na Wystawie naszej pracy kobiecej, ale także i w Paryżu, gdzie panna Olędzka uczyła się dwa lata i czyż osoby inteligentne, znające rysunek, nie były by w stanie



Nr 3. Ubranie dla dziewczynki od 5 do 6 lat.

Nr 4. Kostium marynarski dla chłopczyka

Nr 5. Ubranie dla dziewczynki od 5 do 7 lat.

nauczyć się na miejscu wyrobu, który, choć się do artyzmu zbliża, jest przecież zawsze tylko rzemiosłem? Zakończę tem dodatkiem jeszcze, że kwiaty pani Szymkiewiczowej dostały w Moskwie pierwszy medal złoty, a że róże p. Olędzkiej, pani Szymkiewicz i panien Hofman nie ustępują paryżkim, dowód w tem, że najpierwsze nasze firmy, tylko chyba na żądanie czyjeś, paryżskie kwiaty sprowadzają. Ś. p. Herse, który miał klientelę już w sferach najwyższych, sam głośno mówił, że używa kwiatów od pani Szym-



Nr 6. Ubranie dla chłopczyka do 6 lat.

Nr 7. Sukienka dla dziewczynki od 4 do 5 lat.

Nr 8. Okrycie dla młodej dziewczynki.

kiewiczowej i panny Olędzkiej. Pani Natalia jeżdząc do Paryża, przywoziła ztamtąd modele, które p. Olędzka przesłuszczała odraabiała. Bukiet dużych kwiatów zdumiewającej piękności, p. Hofmann na Wystawie spożywczo gospodarskiej, już sam świadczy za kwaciarstwem naszym. Oprócz wymienionych wyżej wytworów już kwiatów, są również bardzo ładne, a o wiele tańsze, p. Sempłowskiej (Sto-Krzyżka, 17), Kozłowskiej (Senatorska, 17), nie pomijając znanej od tylu lat fabryki Lotta i Elizy (Nowy-Swiat, 46). Że nie ma u nas fabryki dobrych liści i zieleni, z tego nikt sekretu nie robi, bo jest to jakgdyby specjalnością paryżką i nietylko my, ale bogata stolica Anglii, Londyn, zapożycza się ztamtąd. Liście nie wyrabiają się ręcznie, ale jest to wyrób fabryczny i wzniesienie wyrabiającej je fabryki, jest kosztowne i dla naszego kraju nie opłaciłoby się, jeżeli by to miał być wyrób doskonały, czyli taki, jaki sprowadzamy. Nie w tem rzecz leży, abyśmy wszystko u siebie mieli, ale żebyśmy mieli, co tylko mieć można przy środkach naszych. Dla tego jest rzeczą obywatelską wyroby nasze podnosić, a nigdy nie poniżać je, zwłaszcza gdy na to nie zasługują.

Należy się czytelniczkom słowko o bieliznie i dlatego zwiedziliśmy pierwszorzędną naszą magazyn bielizny panów Urbańskiego i Bobrowskiego, a najprzód zmieniliśmy przekonanie, jakoby ceny w tym magazynie były tak, jak to się mówi w mieście — wygórowane. Pokazywano nam śliczne belgijskie i holenderskie płótna, na cienkie dzienne damskie koszule, w cenie od 33 rubli za sztukę, co jest zwykłą ceną używanego na ten cel płótna. Między zupełnymi nowościami widzieliśmy tam chustki batystowe białe, z brzegiem na 1 centimetr szeroki, z kolorowego batystu fabrycznie wrobionym i zahaftowanym w muszki bawełną ręczną robotą — chusteczki takie były oszyte wąziutką walansienką, słusznie, że owe bogato zahaftowane przezrocza i drogie koronki znikły z chustek, które się gniecie w rękę, lub chowa do kieszeni, ten zbytek czyniący chustkę rzeczą nieużyteczną, był właściwie mówiąc, źle umieszczony. Nowością są także kołnierzyki angielskie, proste zupełnie, zahaftowane brzegiem w muszki różnokolorowe i takież proste zupełnie mankiety, na jeden guzik zapięty. Między innymi pięknymi rzeczami, które nam pokazywano, były śliczne, bardzo używane przez elegantki, kaftaniki z zefiru bawełnianego, broszowanego, w rzucik z włóczki, a materiał sam tworzył kwadraciki otoczone ażurowym brzeżkiem. Kaftaniki te zdobią śliczne, lekkie jak pajęczyna, nasładowujące siatkę, welniane białe koronki i wstążki atlasowe, do wiązania u szyi. Noszą je do każdej spódniczki do negliżowego ubrania, a zaaklimatyzują się niezawodnie na lato do wód. lub kąpieli.

Obiecaliśmy w odpowiedzi na liczne pytania o tańsze pracownie, dać czytelniczkom adresu takowych. Otóż wybornie dopasowywa staniki pracownia pa-

ni Wodyńskiej (Królewska, 5); ślicznie odrabia kostiumy pracownia pani Trelle (Nowy-Świat, 38), a z magazynów, które pomimo wykwinnej roboty, biorą ceny bardzo umiarkowane i przyjmują dodatki przyniesione, rekomendujemy magazyn pani Natalii Meizner (Krakowskie-Przedmieście Nr 83), gdzie również przyjmują do roboty kapelusze z przyniesionych własnych materiałów, co jest bardzo wygodne, gdyż każda z nas wie, ile to się w domu zawsze znajdzie rzeczy, z których się da złożyć nowy modny kapelusz.

L. C.

Ubranie dla dziewczynki od 5 do 6 lat. Rycina Nr 3. Sukienka biała, paltocik zapięty na bok skośnie z otomanu ciemno-niebieskiego, guziki stalowe, kołnierzyk i rękawy przybrane haftem. Kapotka z niebieskiej faille, przybrana kokardą kremową i koronką. Pończoszki niebieskie.

Kostium marynarski dla chłopczyka z ciemno-niebieskiej serży. Rycina Nr 4. Majtki, kołnierzyk, kieszonki przybrane galonikiem haftowanym niebiesko i pasowo. Kołnierz kremowy z kaszmiru albo z surah; kamizelka z niebieskiego surah; beret przybrany kremową kokardką i galonikiem.

Okrycie dla małej dziewczynki. Rycina Nr 8. Okrycie zrobione z lekkiego sukna w kratkę orzechową z niebieskim; kołnierzyk, ranwersy i kokarda z szafirowego aksamitu. Kapelusz z orzechowej słomki, przybranej niebiesko; pończoszki niebieskie.

Sukienka dla panienki od 12 do 14 lat. Rycina Nr 9. Spódniczka pokryta wolantem złożonym z pasów blade-niebieskiego wełnianego materiału w rzucik i wstawionych wachlarzy z tafty śliwkowego koloru „prune”. Tiunika z gładkiego niebieskiego materiału, udrapowana podług ryciny. Staniczek niebieski w rzucik; kamizelka, kołnierzyk i mankiety z materiału



Nr 9. Sukienka dla panienki od 12 do 14 lat.

Nr 10. Sukienka dla panienki od 12 do 14 lat.

Nr 11. Sukienka dla panienki od 14 do 16 lat.

Nr 12. Suknia dla panienki od 16 do 18 lat.

Opis rycin mód.

Kostium wiosenny. Rycina Nr 1. Kostium z sukna w rodzaju węgierskim formą wizytki, wyszywany sutaszem i przybrany kokardami z gros-grain. Z tyłu karoczek ułożony w grube odstające fałdy. Spódnica wełniana, z przodu plisowana, z tyłu upięta bufiasto.

Kostium spacerowy. Rycina Nr 2. Kostium zrobiony z lekkiego sukna w rzucik, naszyty szeroką taśmą i przybrany aplikacją z pasmanterii. Spódnica wełniana z fartuchem wywiniętym bufiasto; puff udrapowany falisto. Kapelusz słomkowy, przybrany pękiem strusich piór, mięszanych ze skrzydłami i jedwabną pletnią.

Ubranie dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Rycina Nr 5. Spódniczka biała haftowana, zakieci otwarty z popielatej faille; ranwersy, kołnierzyk i pasek z aksamitu koloru bordeaux. Kapelusik z popielatej słomki, przybrany takimiż aksamitem.

Ubranie dla chłopczyka do 6 lat. Rycina Nr 6. Okrycie z lekkiego brązowego sukna, majtki bufiaste, krótkie, spięte powyżej kolan; kurteczka z przodu otwarta. Kapelusik „bolero” z brązowej słomki.

Sukienka dla dziewczynki od 4 do 5 lat. Rycina Nr 7. Sukienka z różowego voile, przybrana białymi hafcikami. Spódniczka plisowana, kaftanik długi przybrany kokardami z aksamitnej wstążki koloru granatu; kieszenie naszyte na wierzchu. Kapelusik z różowej słomki z blade różowymi piórami; pończoszki granatowe.

„prune”. U kołnierzyka kokarda z surah, złożona z kilku wiszących pukli i końcy.

Sukienka dla panienki od 12 do 14 lat. Rycina Nr 10. Spódniczka z aksamitu w prążki koloru granatowego z odcieniem różowym i beżu. Tiunika z lekkiego wełnianego materiału koloru beżu w deseń, z przodu formuje spiczasty fartuszek, z tyłu upięta bufiasto. Staniczek aksamitny gładki, zapięty z przodu na dwa rzędy guzików, u góry wycięty i przepięty dwoma kokardami odpowiedniego koloru; bluzka marszczona, z tegoż co tiunika materiału.

Suknia dla panienki od 14 do 16 lat. Rycina Nr 11. Spódnica z materiału w kratkę, koloru szarego i brązowego. Tiunika z podwójnego szarego fularu, ułożona w duże płaskie fałdy imitujące wachlarz i wycięta w pół zęby. Wetelement z materiału w kratkę, przybrany szero-

kiemi ranwersami i kamizelczką z szarego fularu podług ryciny.

Sukienka dla panienki od 16 do 18 lat. Rycina Nr 12. Spódnica z niebieskiej sycylienny, ufałdowana z tyłu, a z przodu gładka; tiunika upięta bufiasto i staniczek formą kaftaniczka, przybrana szmuklerskimi guzikami, zrobione są z tegoż co spódnica materyału. Kamizelka plisowana z surah kremowego koloru.

Ubranie codzienne. Rycina Nr 13. Spódnica gładka aksamitna, przybrana wachlarzami z sycylienny koloru beżu. Draperya tiuniki i plisowanie, zebrane jest pod jednym aksamitnym węzłem, który stanowi także zakończenie stanika, spiętego z prawego boku aksamitną wstążką i kokardą z takiejże wstążki. Kołnierzyk stojący aksamitny.

Tualeta koncertowa lub wizytowa. Rycina Nr 14. Spódnica z białej koronki, na różowej podszewce, tiunika, stanik i draperya z fijołkowego gros-grain. Pierwsza spódniczka pokryta koronką i ozdobiona pospinanymi zębami z gros-grain i guzikami z brązowej stali; tiunika formuje draperyę i puff w miękko spadających fałdach; na boku kokarda z morowej wstążki; epolety i kołnierz wykładany z blade-różowej mory; kołnierzyk stojący prosty z fijołkowego aksamitu. Stanik zapięty na patki, z pod których widać szmizetkę białą koronkową. Kołnierzyk przybrany dwoma rzędami frendzli z grełotek.

Przepisy gospodarskie.

Kawa karlsbadzka.

Kto był w Karlsbadzie i pił tamtejszą wyborną kawę, radby podobną mieć w domu, otóż podajemy tu najdokładniejszy przepis, jak bywa tam przyrządzoną. Bierze się najlepszego gatunku „Jawy złotej“ w stosunku pół funta, „Ceylon grubej“ 12 łutów, „Mokki“ 8 łutów — pali się to razem bardzo uważnie, aż do nabrania koloru brunatnego, zwanego u nas „bernardyńskim“, miele się bardzo miálko, sypie w woreczek z gazy młynarskiej, to jest używanej na pytle, lub w woreczek włośniennicowy, a bardzo wiele osób używa woreczków barchanowych, aby kawa była klarowną. Kawę wysypaną w woreczek parzy się, przelewając ją bardzo powoli mocno wrzącą, gotującą się wodą. Chcąc o ile można kawę dobrze wyzyskać, wyparzoną poprzednio jeszcze raz gorącą wodą nalewając, dają jej się zagotować w imbryku szczelnie przykrytym, zostawiają spokojnie do opadnięcia metów na dno, zlewając ją

z nich ostrożnie, aby potem do przelewania kawy użyć w miejsce wody. Ma się rozumieć, że należy ten odwar, zupełnie tak jak czystą wodę, lać kipiący na kawę. Kawa parzona tylko wodą, jest wyborna, jak już wspominaliśmy, aromatyczna i bardzo klarowna, przecież używanie odwaru z wygotowanej kawy, ma za sobą powagę Liebiga, który twierdzi, że gotowanie kawy na dawny prosty sposób, w dobrze przykrytym imbryku, jest najracjonalniejszym sposobem jej przyrządzania, gdyż gotowanie wydobywa z kawy pewne części tłuste, które przy parzeniu jej tylko, zostają dla pijącego stracone. Za to kawa naparzana jest więcej aromatyczna, ci więc, którzy odwaru z raz już użytej, to jest warem przelanej kawy, używają do parzenia, łączą te dwa sposoby. Kawa gotowana już nigdy tak klarowną nie będzie, jak parzona. Liebig każe kawę zaraz po upaleniu co najprędzej studzić i w tym celu zaraz wysypywać na duży półmisek porcelanowy lub cynowy i natychmiast cienko rozgarnąć. Tak zwane pocenie się kawy, uważa on za niedobre. Wiele gospodyń karlsbadzkich nie używa zamkniętych piecyków i pali kawę w tyglach, w piecu od kuchni.

I. M.

Gotowanie i smarzenie węgorza.

Do smarzenia używa się tylko młode węgorze, które do smarzenia lub pieczenia nie obciążają się ze skóry, tylko wycierają mocno piaskiem i solą, tak pokrajany na kawały lub w całości, osolony i umoczony w mące, smarzy się, a w czasie jedzenia skóra się odrzuca i wtedy węgorz jest wyborny, bo stwardniała skóra nie przepuszcza soku i tłuszczu ryby, w czasie smarzenia lub pieczenia. Dowodem tego systemu jest to, iż najsmaczniejsze i najlepsze węgorze, są wędzone w skórce. Przeciwnie węgorz gotowany na zupe, musi być obciążony ze skóry, aby cały smak ryby wygotował się dobrze. Ponieważ pod skórą węgorza znajduje się tak, jak u wszelkich ryb morskich, pewien tłuszcz, odpowiadający zapachowi tranu, po zastygnięciu, więc gotują go bez skóry na marynatę, najlepiej jednak jest gotować go ze skórą, aby smak został w rybie, a natychmiast po ugotowaniu zdjąć skórę, aby tłuszcz z pod skóry nie zastygł na rybie i tym sposobem nie robił jej niestrawną i z zapachem tranu. Marynując łososa, tego samego należy się trzymać systemu, tak postępują w miejscowościach, gdzie marynują łososie na wywóz, czego dowodem, że przychodzące do nas w barylkach łososie marynowane w kawałkach, bywają przeważnie cienkiem łyżkiem, aby się nie rozleciały.

Doświadczenia gospodarskie.

1. Tłuszcz czyli słonina z gotowanej szynki odkrojona, pokrajana w kostkę i przesmarzona, daje najwyborniejszy smalec do smarowania na chleb, lepszy stokrót nawet od gęsiego. Gorąco zaś zasmarzona wraz ze skwarkami, jest bardzo smaczną okrasą do kartofli, kaszy, klusek lub pierogów.

2. Gdy mleko nie pewne, wsypać na kwartę mleka, mniej niż ćwierć łyżeczki sody, lub tyleż cukru, albo wrzucić soli i gotować razem, a nie zważy się.

L. C.

Obiad na Niedzielę

1. Zupa szczawiowa z faszerowanymi jajami.

2. Ozór solony z makaronem i chrzanem.

3. Pierogi z twarogu leniwe.

4. Pieczeń cieleca z biszamelem i sałata.

5. Suflet z pomarańcz.



Nr 13. Ubranie codzienne.

Nr 14. Tualeta koncertowa lub wizytowa.